

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 98 (dom własny). Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX | Kraków, 28 stycznia 1922. | Nr. 4.



Potęga ciemnoty: Zwłoki mordercy i samobójcy, przewrócone twarzą na dół, przybija jego krewniak długim gwoździem do dna trumny, aby mu uniemożliwić straszenie po śmierci.

Zgon Papieża Benedykta XV.

Żałobnem echem rozeszła się po całym świecie wieść o zgonie Papieża Benedykta XV., wywołując tem większe wrażenie, iż była zgoła nieoczekiwaną, choć bowiem na kilka dni przedtem doniesiono o jego słabości, nikt nie przypuszczał, aby niebezpieczeństwo miało być tak groźne i bliskie. Żałoba, jaka na wiadomość o zgonie Najwyższego Pasterza Kościoła katolickiego okryła świat cały, szczerą jest i niekłamaną, osoba bowiem Benedykta XV. otoczoną była miłością i szacunkiem nie tylko katolików, ale i innowierców.



Krótki okres rządów Benedykta XV. przypadł na czasy dla Kościoła bardzo ciężkie, bo na ostatnie lata wojny światowej i kształtowanie się stosunków powojennych. Ucierpiał w tym okresie wiele świat cały, wojna nie pozostała bez wpływu i na Kościół, a w ten sposób spełniły się słowa proroctwa, przypisywanego św. Malachiaszowi, brzmiącego odnośnie do tegoż Papieża: „*Ecclesia depopulata* — Kościół wyludniony“.

W dziejach Kościoła imię Benedykta XV. zapisało się głoskami naprawdę złotemi, a ojcowską swą działalnością i opieką nad cierpiącymi i potrzebującymi pomocy wystawił sobie sam, jeszcze za życia, pomnik trwalszy od spiżu, przekazujący Jego apostolską działalność następnym wiekom. Benedykt XV. połączył w sobie gorliwość o dobro swej owczarni z głębokiem zrozumieniem jej najżywotniejszych interesów, a kierunek polityki pojednawczej, jaki sobie obrał, przyniósł Kościołowi katolickiemu już niemałe korzyści, a byłby niezawodnie jeszcze owocniejszym, gdyby nie śmierć przedwczesna. Przedwstępne kroki do pojednania rządu włoskiego z Kuryą rzymską, nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Francyą, to objawy przebaczenia uraz i tej miłości bliźniego, jakie przepełniały Jego ojcowskie serce. Wymowny dowód uznania złożył Mu niedawno akatolicki Wschód, czcząc Go pomnikiem, zdobiącym jeden z placów Konstantynopola.

Polska straciła w Zmarłym prawdziwego swego przyjaciela, gorliwego rzecznika i opiekuna swych interesów. W czasie wojny i po niej spieszył nam Benedykt XV. zawsze z pomocą, nie tylko moralną, ale i materyalną, losami narodu naszego zajmował się zawsze bardzo żywo i przepowiadał mu szczęśliwą przyszłość.

Z Benedyktem XV. schodzi do grobu pasterz, który gotów dać życie za swą owczarnię, wytężająca bowiem praca w niezbyt sprzyjających warunkach przyczyniła się do podkopania i tak już wątłego Jego zdrowia, którego jednak nie szczędził, gdy szło o pełnienie swych obowiązków.

* * *

Benedykt XV., ze świeckiem nazwiskiem Giacomo della Chiesa, urodził się 20 listopada 1854 r. w Genui, jako syn margrabiego Józefa i margrabiny Joanny z Milloratich. Po ukończeniu szkoły średniej w Genui, uczęszczał na wydział prawa tamtejszego uniwersytetu. Uzyskawszy stopień doktora praw, wstąpił do kolegium Capranica na studya teologiczne. Uzyskawszy licencyat teologii, wyświęcony został na księdza dnia 21 listopada 1878 roku. Ukończył następnie Akademię „dei nobili ecclesiastici“ i przyjęty został jako praktykant do sekretaryatu dla nadzwyczajnych spraw Kościoła. Sekretarzem był wówczas Rampolla, który zostawszy nuncyuszem w Hiszpanii, zabrał z sobą della Chiesę, jako sekretarza nuncyatury.

Na tem stanowisku pozostał Chiesa do roku 1887. Gdy papież Leon XIII. zamianował Rampollę kardynałem i sekretarzem stanu, Chiesa otrzymał powołanie do sekretaryatu. Wśród tych obowiązków nie zapomniał o obowiązkach duszpasterkich.

Przeszedł przez wszystkie stopnie aż do godności zastępcy sekretarza stanu, na którem to stanowisku pozostał podczas „sedis vacantiae“ i pierwszych czterech lat pontyfikatu Piusa X. — Po śmierci Svampy w r. 1907 wybrano Chiesę na jego miejsce dnia 16 grudnia 1907 r. arcybiskupem Bolonii, a dnia 22 tego samego miesiąca papież wyświęcił go na biskupa. Dnia 25 maja 1914 r. della Chiesa zamianowany został kardynałem, a 3 września wybrany został papieżem.

Przed niespełna tygodniem zapadł Papież na grypę, wątłe jego zdrowie nie zdołało przemódz słabości i nad ranem w dniu 22. stycznia zasnął w Panu, budząc swym zgonem żal ogólny.



W służbie dla Ojczyzny: Dekoracya odznaczonych orderem *Virtuti militari* i Krzyżem Walecznych we Lwowie w dniu 15 stycznia b. r.

W służbie dla Ojczyzny.

Obowiązkiem każdego obywatela jest służenie swej Ojczyźnie i to nie wtedy dopiero, gdy Ona go do tego powoła, ale już wtedy, gdy sam spostrzeże, że pomoc jego może się na coś przydać. Od tej służby nie uwalnia ani płeć, ani wiek, ani zawód, każdy jest do niej obowiązany zwłaszcza, że działając na Jej korzyść lub ratując Ją w potrzebie przyczynia się tem samem i do poprawy swego własnego losu. Ojczyzna usługi oddane sobie, powinna przyjąć jako daninę słusznie się Jej należącą, jeśli zaś je wynagradza, to dlatego, aby innych zachęcić do pełnienia obowiązków obywatelskich. Obywatel, szczerze swój kraj kochający powinien być gotów na wezwanie swej Ojczyzny, nie oglądając się na nagrodę, jaka go za to czeka, ale idąc za głosem serca, które mu powinno powiedzieć, że to święty jego obowiązek, od którego spełnienia nikomu się odciągać nie wolno.

Dzień 15. stycznia b. r. zgromadził na lwowskim Placu św. Ducha obok siebie w miłej harmonii sutannę, mundur wojskowy i cywilne ubranie, okrywające tych, którym za służbę gorliwą a wydatną dla Ojczyzny należała się podzięka i widomy znak wdzięczności. Odbył się tam mianowicie akt dekoracyi krzyżami orderu *Virtuti militari* i Krzyżami Walecznych kilku osób, tak wojskowych jak cywil-

nych, za usługi położone w obronie Ojczyzny. Aktu tego dokonał dowódca O. K., generał porucznik Jędrzejowski w imieniu Naczelnego Wodza.

Uroczystość odbyła się o godzinie dziesiątej rano przy udziale jeneralicyi, przedstawicieli komendy miasta, kompanii honorowej 19 p. p. oraz zgromadzonej dokoła publiczności.

Po odegraniu hymnu narodowego przez orkiestrę 19 p. p. jen. Jędrzejowski przypiął krzyże „Virtuti militari“ płk. Jasińskiemu Albinowi, ks. prof. dr. Tarnowskiemu, Mieczysławowi. Krzyże zaś Walecznych: inż. Lewickiemu Józefowi, kap. Iwaszkiewiczowi Adamowi, rotm. Nittmanowi Tadeuszowi, ppor. Gecowskiemu Tadeuszowi, ppor. Kubiakowi Maks., ppor. Grodzickiemu Zygmuntowi, ppor. Grottowi Edwardowi, odznaczenia dla nie żyjącego już wachmistrza Winnickiego Kazimierza wręczył zaś rodzinie. Kompania honorowa sprezentowała broń, wkońcu zaś przedefilowała przed odznaczonymi przy dźwiękach orkiestry.

W trzechsetną rocznicę urodzin Molière'a.

Trzechsetną rocznicę urodzin ojca komedyi francuskiej, niezrównanego Molière'a, obchodziła Francya w dniu 15. stycznia i następnych jako święto narodowe, w którem wzięli udział przedstawiciele całego kulturalnego świata. Reprezentowanych było czterdzieści pięć państw obu półkuli.



W trzechsetletnią rocznicę urodzin Moliere'a: Portret Moliere'a, pędzla Miquard'a, w zamku Chantilly.

Paryż przysposobił się należycie do uroczystego obchodu, celem uczczenia pamięci Molière'a. Dzień narodzin jego nie jest dotąd ustalony, że zaś dn. 15-go b. m. upłynęło lat 300 od dnia chrztu Jana Baptysty Poquelin'a, tak bowiem brzmi właściwe nazwisko wielkiego pisarza, postanowiono ten dzień uważać za datę rocznicową.

Lwia część uroczystości przypadała w udziale Komedyi Francuskiej, zwanej też we Francyi powszechnie „Domem Molière'a“. Już od lat dwóch dyrekcya tego teatru poświęcała znaczną część zysków na przygotowania z obchodem związane i postanowiła wystawić 26 sztuk Moliere'a, czyli wszystkie, z wyjątkiem pięciu czy sześciu prawie bezwartościowych. Przeważna część dzieł Moliere'a, nie schodzi z repertuaru Komedyi, są jednak takie, które po dziesiątkach lat teraz dopiero wrócą na scenę; „La princesse d'Elide“ np. nie była grana od r. 1737; komedyę „Les Fâcheux“ wystawiano po raz ostatni przed laty 30-tu.

Program uroczystości, opracowany przez dyrekcyę teatrów paryskich, przyjęty został przez ministra sztuk pięknych, p. Bérarda, i zapowiedział początek obchodu na d. 14 b. m. W dniu tym odbyło się w Sorbonie przyjęcie licznych delegacyi cudzoziemskich; większość akademii, uniwersytetów i stowarzyszeń literackich wysłały swoich przedstawicieli. Uroczystemu zebraniu przewodniczył p. Millerand, zaś mowy wygłosili pp. Bérard, Emil Fabre i Robert de Flers.

Nazajutrz, w niedzielę 15-go, odbyły się widowiska bezpłatne w Komedyi, w „Odeonie“ i w „Vieux-Colombier“. W Komedyi odegrano „Mieszczanin szlachcicem“, — dla przedstawicieli państw zagranicznych, następnego dnia „Świętoszek“ i „Pan de Pourceaugnac“ dla uniwersytetu i szkół wyższych.

Projekt urządzenia widowiska w Wersalu upadł, wobec niemożliwości ogrzania wielkiej galeryi „des Glaces“; odbyło się natomiast przedstawienie w Luwrze, w sali Karyatyd.

Dnia 16 i 17 przeznaczono na ceremonie, urządzone przez miasto, główne licea i szkoły oraz inne inicyatywy prywatne. D. 19, Dyrekcya sztuk pięknych przyjmowała delegacye oraz artystów Komedyi Francuskiej.

i parlamentarzysta polski, ostatnio kierownik Tymczasowego Wydziału Samorządowego w Małopolsce, hr. Zygmunt Lasocki.

Nowy nasz poseł we Wiedniu, politycznie przynależny do Polskiego Stronnictwa Ludowego, na każdym posterunku, jaki zajmował, umiał sobie zdobyć uznanie i sympatyę, a dowodem tego pożegnanie go w dniu 5. stycznia b. r. przez członków T. W. S., a następnie w dniu 7. stycznia, przez delegacyę urzędników tegoż Wydziału.

Hrabia Zygmunt Lasocki urodził się w r. 1867 w Brukseli. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich



W służbie dla Ojczyzny: Jenerał por. Jędrzejowski w otoczeniu odznaczonych za męstwo i korpusu oficerskiego podczas defilady załogi lwowskiej w dniu 15 stycznia b. r. Fot. M. Münz, Lwów.

Wszystkie teatry w Paryżu, a nawet „music halle“ uczciły specyalnemi widowiskami również rocznicę genialnego pisarza.

W salach *Palais-Royal* otwarto wystawę Molierowską, celem upamiętnienia rocznicy wybito też medal pomysłu artysty rzeźbiarza Prudhomme'a.

W uroczystościach Molierowskich wzięła udział i Polska przez wysłanie swej delegacyi do Paryża oraz urządzając w Warszawie obchód, poświęcony pamięci wielkiego pisarza. Uroczystość odbyła się w auli uniwersytetu warszawskiego, zainicyonowana przez młodzież akademicką pod patronatem rektora i senatu. Na uroczystości byli przedstawiciele rządu, rektorowie, ucząca się młodzież wszystkich uczelni, kolonia francuska, grono osób ze świata naukowego i artystycznego stolicy. Słowo wstępne wypowiedział dr. Mann, poczem wygłoszono trzy odczyty poświęcone twórczości Moliere'a.

Na zakończenie uroczystości rektor Uniwersytetu oznajmił, że prezydent ministrów Ponikowski złożył 300 tysięcy marek na stypendya dla studentów w dziedzinie literatury francuskiej.

Nasz poseł we Wiedniu

Posłem Rzeczypospolitej przy rządzie Niemieckiej Austryi zamianowany został wybitny polityk

i osiągnięciu stopnia doktora praw poświęcił się hr. Lasocki służbie administracyjno politycznej w Austryi, wstępując do Namiestnictwa w Bernie na Morawach. Po mianowaniu Komisarzem powiatowym przydzielony został hr. Lasocki do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Wiedniu, gdzie pracował lat kilka w Departamencie dla spraw galicyjskich. W r. 1906 na wniosek ówczesnego namiestnika hr. Andrzeja Potockiego przeszedł hr. Lasocki jako starosta na etat administracyi politycznej Galicyi, przyczem poruczono mu kierownictwo starostwa w Tarnobrzegu. Zetknąwszy się na tym posterunku z ludnością wiejską, stał się hr. Lasocki jej gorącym orędownikiem, przez co zwrócił na siebie uwagę kierujących osób Polskiego Stronnictwa Ludowego, które coraz bardziej wówczas rosło w siłę, zwłaszcza w Galicyi zachodniej.

Hr. Lasocki należał do tych, którzy uważali utorowanie ludowcom, stojącym poza Kołem Polskiem, drogi do połączenia się z resztą stronnictw narodowych w parlamencie wiedeńskim w jedną solidarną reprezentacyę za najważniejszy postulat polityki naszej w zaborze austryackim.

Z chwilą, kiedy ludowcy ze Stapińskim na czele wstąpili do Koła Polskiego, rola ich dotychczasowa musiała się zmienić. Osiągnąwszy po ciężkich walkach wybitne stanowisko na arenie parlamentarnej, musieli ludowcy przejść do polityki pozytywnej. Po-



W trzechsetletnią rocznicę urodzin Moliere'a: Inicyatorowie Wystawy Molierowskiej w nowych salach Komedyi Francuskiej w Palais-Royal (E. Fabre, P. Léon, A. Rondel i J. Couet.

niewaź na czele swych postulatów wysunęli przeprowadzenie rozmaitych reform administracyi politycznej, przeto ważną dla nich kwestyą było powołanie na wybitne stanowisko w rządzie osobistości duszą, i sercem oddanej sprawie stanu włościańskiego. Osobistością tą był hr. Lasocki, który w r. 1908 przydzielony został do Ministerstwa dla Galicyi, w czasie kiedy ministrem dla Galicyi był Da-



W trzechsetletnią rocznicę urodzin Moliere'a: Medal, pomysłu G. Prudhomme'a, wybity ku uczczeniu trzechsetnej rocznicy urodzin Moliere'a

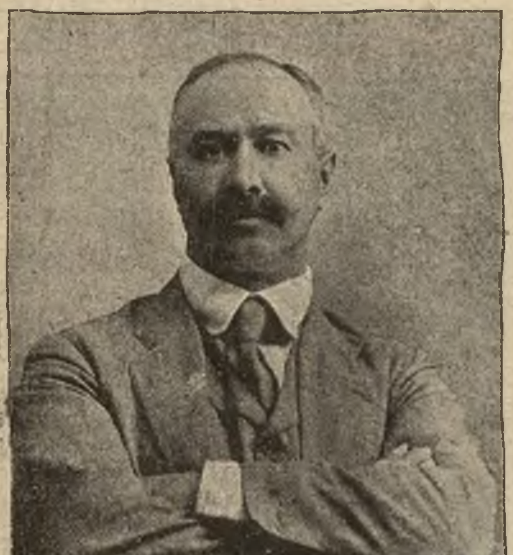
wid Abrahamowicz. Od tego czasu zacieśnia się kontakt między ministrem dla Galicyi jako zastępcą tego kraju w Radzie koronnej, a szerokiemi sferami ludności.

Gdy w roku 1911 rozpisano nowe wybory do parlamentu austryackiego, kandyduje hr. Lasocki z okręgu wyborczego Nisko Tarnobrzeg i wchodzi do Rady Państwa, wybrany ogromną większością. Koło Polskie zyskuje w nim niestrudzonego pracownika. Szczególną opieką otoczył hr. Lasocki sprawy małych miasteczek galicyjskich, tak bardzo przez miarodajne czynniki zaniedbane. Jako znawca politycznej administracyi. gorliwie starał się o ulepszenie aparatu administracyjnego w Galicyi.

Z chwilą wybuchu wojny światowej organizuje hrabia Lasocki w Tarnobrzeskiem Oddział Strzelecki, który wszedł w skład Legionów Polskich, następnie przybywa do Wiednia, aby oddać się akcyi pomocy dla uciekających przed Moskalami uchodźców wojennych i pędzonych bezlitośnie przez wojsko austro-węgierskie ewakuowanych. Z całem poświęceniem stara się o poprawę losu tych nieszczęśliwych ofiar wojny. Lata wojny światowej — to najpiękniejsza karta działalności hrabiego Lasockiego.

Z chwilą powstania niepodległej Ojczyzny, hr. Lasocki stara się o mandat do Sejmu Ustawodawczego. Niestety radykalizm w masach chłopskich bierze górę i z dawnego okręgu hr. Lasockiego wychodzi przeciwnik jego, znany ze swych warcholskich występów, ksiądz Okoń. Pole do pracy znajduje hrabia Lasocki w charakterze członka Tymczasowego Wydziału Samorządowego, likwidującego agendy byłego galicyjskiego wydziału Krajowego. W krótki czas później mianuje go Naczelnik Państwa prezesem tej instytucyi.

Na nowy swój posterunek jako poseł Rzeczypospolitej w Wiedniu przynosi hr. Lasocki ze sobą bardzo cenne przymioty, a w szczególności znajomość stosunków wiedeńskich i osobistości, kierujących Republiką austryacką.



Nasz poseł we Wiedniu Hr Zygmunt Lasocki, nowomianowany poseł Rzeczypospolitej przy rządzie Niemieckiej Austryi.

Echa konferencyi w Cannes.

Dziś, gdy konferencya Rady Najwyższej odbyta w Cannes, należy już do przeszłości, można zestawić pokrótce jej program, który dla przyszłych losów świata, przedewszystkiem zaś dla samej Europy powinien być o dużem znaczeniu. Skończyła się prędzej niż się spodziewano, a to z powodu upadku gabinetu Brianda, miała jednak dość czasu na załatwienie się z najważniejszymi postulatami, jakie się znalazły na porządku dziennym jej obrad.



Echa konferencyi w Cannes: Prezydent Briand opuszcza gmach, w którym odbywały się posiedzenia Rady Najwyższej w Cannes.

Konferencya w Cannes doszła do zasadniczego porozumienia w sprawie odbudowy środkowej Europy, rozpatrywała też drugi daleko może trudniejszy jeszcze temat: kwestyę takiego ukształtowania przymierza angielsko francuskiego, aby ono dawało Francyi rękojmię przed ewentualnym atakiem Niemiec. Była to sprawa jeszcze trudniejsza, ale i sprawa znalezienia formułki dla odbudowy Rosyi, a zarazem dopuszczenia do tego Niemiec, nie była łatwą. I tutaj były początkowo różnice między Francyą a Anglią. Francya chciała mianowicie przeprowadzić tutaj: 1) bardzo ściśle *junctim* między zapłaceniem całych reparacyi przez Niemcy, a ich udziałem w odbudowie: 2) nie chciała łączyć kwestyi odbudowy gospodarczej Rosyi z kwestyą polityczną to jest z wyraźnem uznaniem rządów sowieckich, jako rządy legalne. Czy to dlatego, że nie wierzy w ich stałość, czy też może dlatego, że jak twierdzą niesprawdzone pogłoski, ma pewne układy z emigracyą prawicową, i kadecką, przebywającą w Paryżu, dość, że dla Francyi bardzo trudnym punktem do przyjęcia był punkt, zapewniający wyraźne uznanie obecnego rządu Rosyi za rząd legalny. Tymczasem w projekcie angielskim przygotowanym na konferencyę w Cannes, punkt taki się znajdował, a zresztą był on zgodny z postulatami, jakie stawiali bolszewicy.

Rezolucya, uchwalona w Cannes, wypadła formalnie po myśli obu życzeń francuskich. Punkt o wyraźnem uznaniu rządów sowieckich zniknął z jej tekstu; akcya ma mieć charakter polityczno-gospodarczy, nie polityczny, co telegramy z naciskiem podnoszą. Ma się ona odnosić nie tylko do Rosyi, ale i do innych krajów, zniszczonych wojną, przez co odpada nawet pozór, jakoby dążono do utrwalenia rządów sowieckich. W przyszłej konferencyi (marcowej) wezmą też udział wszystkie państwa europejskie bez względu na to, po jakiej stronie walczyły. W ten sposób po raz pierwszy dano wyraz zasadzie, że w Europie niema dotąd nieprzyjaciół z czasów wojny, że są natomiast narody zrujnowane i zagrożone i że tylko powrót do zasady światowej solidarności gospodarczej może te ruiny usunąć.

Jest to znamienny i ważny zwrot, jakże bardzo odbijający od myśli przewodniej, będącej podstawą traktatu wersalskiego! Próba do stworzenia trwałego pokoju na zasadach wzajemnego porozumienia narodów, przyczem każdy ma mieć autonomię wewnętrzną co do ustanowienia u siebie takiego rządu jaki uważa za najlepszy.

RENE BURES.

Zil=X...

10) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Dlatego, że w domu dobrze prowadzonym wszelkie czynności są jasno określone. Służący mój więc jest obarczony staraniem pamiętania co robię. Ja mam co innego do czynienia. Izydor jak pan widzi jednak nie przypomina sobie. To bardzo niemile, bo chciałem zadowolnić ciekawość pana.

— Panie, pan sobie żałuje ze mnie — zawołał sędzia Giroux w najwyższem zdenerwowaniu.

— Wcale nie.

— Zaznaczam panu, że w własnym swoim interesie musi się pan inaczej zachować wobec władzy. Nakazuję więc panu odpowiedzieć co pan robił między godziną dziesiątą a dwunastą w nocy!

— Powiedziałem panu, że jest to rzeczą mojego służącego pamiętać o tem co ja robię.

— Więc pan odmawia odpowiedzi?

— Nie! Tylko sądzę, że wolno mi cierpieć na brak pamięci.

— A więc ja to panu przypomnę! — zawołał oburzony pan sędzia Giroux.

— Z przyjemnością.

— Ja panu powiem co pan robił! Koło godziny dziesiątej, wyjechał pan konno i wrócił o północy na koniu pokrytym pianą!

Jerzy Dambleuse udał wielkie zdziwienie.

— Ja miałem wyjeżdżać konno? I bułanka jak pan powiada była pianą pokryta? Czy pan tego pewny?

— Najpewniejszy.

— Ho! ho! to ciekawe!

— Niech się pan śmieje do woli! Niech się pan w ten sposób śmieje jak najdłużej. Radzę to panu szczerze — syczał ze złości pan Giroux.

— Dziękuję panu.

— Co pan mówi?

— Dziękuję panu, za tę dobrą radę.

— Dosyć żartów, panie Dambleuse! Czy pan nie rozumie jak ważnem dla pana jest twierdzenie, że wyjeżdżał pan tej nocy konno, o tej godzinie właśnie, w której zamordowano kapitana de Limandoux!? Pańskiego rywala!?

— Nie, panie, nie rozumię tego.

— Panie Dambleuse!

— Jeżeli zechce pan pytać wszystkie osoby z tej okolicy co robiły między dziesiątą a dwunastą godziną, będzie pan miał niemało roboty!

— Oh! przepraszam, nie wszystkie te osoby kochały pannę de Beaumont — zaprzeczył tryumfująco sędzia Giroux.

— Panie, pan znowu sobie pozwala na grubiaństwa!

— Przerwę je na chwilę. Poinformuję się tylko u pana służącego, skoro pan sam twierdzi, że jego obowiązkiem jest odświeżać pamięć pana. Pana zaś proszę o zaczekanie na mnie w tym pokoju, gdzie jestem zmuszony dodać panu towarzysza.

Mówiąc to pan Giroux zawezwał do gabinetu ajenta i kazał mu czuwać nad Jerzym Dambleuse. Sam zaś przeszedł do drugiego pokoju, gdzie znajdował się służący.

Izydor w dalszym ciągu okazywał niepokój i zmięszanie.

— Z tego świadka wydobędę coś z pewnością — pomyślał z zadowoleniem pan Giroux.

Rzeczywiście, Izydor jak tylko znalazł się sam w obecności sędziego śledczego zeznał bez wahania, że koło północy został obudzony galopem konia, że wyszedł z pawilonu i znalazł w ogrodzie bułankę zlaną potem, jak po forsownym marszu.

— Czy pan twój się obudził?

— Tak, panie sędzio.

— I nic ci nie powiedział?

— Owszem, powiedział mi, abym się nie dotykał konia!

— Ah! więc tak! Powiedział ci, żebyś się nie dotykał konia!

— Tak, panie sędzio. Zeszedł sam i wprowadził bułankę do stajni.

— Proszę to zapisać — ozwał się pan Giroux do pisarza, którego wprowadził ze sobą. To ważny szczegół! Bardzo ważny.

— Podszedł do służącego i spytał poufnym, zachęcającym głosem.

— Słuchaj, mój przyjacielu, czy twój pan był w posiadaniu rewolweru?

— Tak, miał browning.

— Czy rozpoznał byś tę broń?

— Oh! naturalnie.

— Z całą pewnością?

— Oczywiście panie sędzio. Ja to czyściłem zawsze rewolwer pana. Poznałbym go po skazie, jaka jest na lufie przy końcu.

Pan Giroux zatarł ręce z zadowoleniem. Zawołał ajenta. Kazał mu przynieść z automobilu pozostawioną tam paczkę, rozwiązał ją z pewnem wzruszeniem i wyciągnął rewolwer, który podał służącemu.

— Czy to rewolwer pana Dambleuse? — zapytał.

Izydor wziął broń, kilkakronie obrócił w ręce przypatrując się uważnie i rzekł:

— Tak, to jest rewolwer mojego pana.

— Możesz zaręczyć?

— Mogę nawet przysiądz, panie sędzio — zawołał służący. — Tak! tak! przysiądz mogę! Oh! jest ta skaza, o której panu sędziemu mówiłem przed chwilą.

Mówiąc to wskazał sędziemu dosyć wyraźną podłużną rysę.

I wówczas zdumiony pisarz ujrzał rzecz nadzwyczajną.

Oto pan sędzia Giroux z radosnym uśmiechem na twarzy zaczął przebiegać pokój baletowym krokiem, pośpiewując jakąś skoczną melodyę z najnowszej operetki.

Poczem pan sędzia otworzył drzwi gabinetu, gdzie pod czujnem okiem ajenta Jerzy Dambleuse czytał dziennik i zawołał na głos cały:

— Panie Jerzy Dambleuse, oskarżam pana o morderstwo na osobie kapitana de Limandoux!

— Proszę! tylko tyle! — odrzekł spokojnie młody człowiek. — Pan się szybko decyduje panie sędzio! Czy mogę wiedzieć na czem pan opiera to oskarżenie?

— Oh! Boże mój! to takie jasne!

— Jasne?

— Niebyło pana u siebie w nocy pomiędzy dziesiątą a dwunastą godziną. Prócz tego znaleziono pana rewolwer przy zwłokach.

Na te ostatnie słowa Jerzy Dambleuse powstał nagle.

— Pan mówi — szepnął wzruszonym głosem, że znaleziono mój rewolwer przy zwłokach?

— Tak! — odpowiedział tryumfująco sędzia Giroux. — Mówię, bo to jest prawdą!

— Czy pan może mi ten rewolwer pokazać?

— Owszem, jest tutaj.

Jerzy Dambleuse wziął broń, obejrzał i wyrzekł półgłosem.

— Numer 103 000... tak, ten rewolwer należy do mnie.

Poczem dodał głośno:

— Panie sędzio, jestem do pana dyspozycyi.

Ślad.

Był to tak senzacyjny skandal, jakiego dawno nie pamiętano w Paryżu.

Wyrywano poprostu z rąk chłopaków ulicznych wydania, w których opisaniem było pierwsze przesłuchanie Jerzego Dambleuse. Jawny dowód rewolweru był tak niezbity! a przytem cała sprawa wydawała się tak jasną!

Jerzy Dambleuse, człowiek znany z energiczności i czynu, przedsiębiorczy, zuchwały i pełny zdolności, zamordował swojego rywala kapitana de Limandoux. Była to jednak jak wyrażali się wszyscy „zbrodnia erotyczna", która pewną groźną aureolą otaczała jej bohatera.

Sprawa Dambleuse była na ustach wszystkich.

Zapominano już przy niej o sprawie Poivrier. Dysputy i rozmowy podniecone zawiązywały się wszędzie, nawet na ulicach. Mówili o niej dorożkarze z wysokości swoich kozłów, sklepikarze, chłopcy uliczni, na równo z towarzystwem wypełniającem salony i kluby.

Reporterzy obsaczali Izydora, służącego Jerzego Dambleuse, chcąc z niego wydobyć jakie senzacyjne zeznanie. Lecz tenże powtarzał tylko to, co wiedział. Pan jego nie wychodził w nocy, przynajmniej on go nie widział, wyszedł tylko do ogrodu uspokoić ulubioną swoją wierzchówkę, która biegała jak szalona, pokryta pianą. Jerzy Dambleuse nie pozwolił swojemu służącemu dotknąć zwierzęcia. Był to dla pana Giroux i prasy dowód oczywisty, że młody człowiek niechciał aby służący zauważył, że koń odbył dalszą jakąś drogę i był zmęczony.

Poza tym faktem Izydor nie wiedział nic więcej.

Napróżno reporterzy zapytywali go czy w ciągu dnia pan jego okazywał jakieś rozdrażnienie lub niepokój w dzień dokonanej zbrodni. Odpowiadał niezmiennie, że nie zauważył żadnej w usposobieniu jego, że Jerzy Dambleuse, był był jak zazwyczaj spokojny i milczący.

Reporterzy więc zwrócili się w inną stronę. Zaczęli badać stosunki towarzyskie oskarżonego i kapitana de Limandoux. Nie dowiedzieli się jednak wiele. Służba kapitana oświadczyła, że nie widziała nigdy awiatora u ich pana. Natomiast służba senatora Poivrier, a szczególniej szofer Ternissien znali doskonale Jerzego Dambleuse, który był częstym gościem senatora. Przypomnieli sobie również, że młody awiator spotkał się kilkakrotnie z kapitanem de Limandaux w domu pana Poivrier. Dodali jeszcze, że Jerzy Dambleuse przestał nagle bywać w willi „Bzów".

Pan sędzia Giroux przyprowadził sam około godziny jedenastej Jerzego Dambleuse do pałacu sprawiedliwości i po przesłuchaniu, rozkazał zamknąć w więzieniu. Po załatwieniu tej formalności, bezwłocznie zawezwał ajentów i dał im zlecenie sprowadzenia służącego Izydora.

Tymczasem zaś, zajął się uporządkowaniem aktów i rozkazał pisarzowi spisać wszystkie szczegóły rannego przesłuchania.

Kiedy ajenci przyprowadzili do gabinetu służącego Jerzego Dambleuse, pan Giroux obrzuciwszy go przenikliwym spojrzeniem zapytał łagodnie:

— Mój przyjacielu, powiedz mi, czy byłeś zdziwionym żądaniem twojego pana, abyś nie dotykał jego konia wówczas, kiedy spieniony biegał po ogrodzie?

— Nie — odpowiedział Izydor — pan bardzo kochał swojego konia i często sam się nim zajmował.

— Dobrze — mruknął z zadowoleniem sędzia. — Bardzo dobrze. Niech pan zapisze do protokołu — zwrócił się do pisarza — że Jerzy Dambleuse kochał bardzo swojego konia.

— Ale czy ciebie to nie dziwi — mówił dalej do służącego, że pan twój zmęczył tak konia, na którym mu zależało jak sam twierdzisz?

Izydor nie znalazł na te słowa odpowiedzi. Zapewne, zastanowiwszy się nad tem głębiej, można było się zdumieć, ale na razie nie pomyślał o tem.

Wyraził po chwili to przekonanie sędziemu, który nie nalegał już więcej tylko zapytał słodkim, zachęcającym głosem:

— Zapewne pierwszy raz widziałeś konia w podobnym stanie?

— Tak jest, panie sędzio.

— Jesteś pewnym tego?

— Zupełnie pewnym.

— A więc kiedy twój pan wychodził wieczorem to nie kazał siodłać konia, tylko szedł pieszo!?

— Tak.

— Czy często wychodził?

— Niegdyś dosyć często. Ale od trzech tygodni, to nie wychodził prawie wcale z domu.

— Czy możesz mi powiedzieć ile razy wydalał się z domu przez te trzy tygodnie?

— Nie pamiętam.

— Dwa, trzy razy.

— Zaraz, zaraz... może sobie przypomnę.

— Tak, tak, przypomnij sobie, mój przyjacielu...

— Otóż przypominam sobie, że wychodził raz w ostatnich czasach.

— Kiedy to było?

— Trzy lub cztery dni temu.

— Ah! ah! — wykrzyknął sędzia. — Cztery dni temu! Doskonale! Ale staraj się odświeżyć swoją pamięć, mój kochany! Ot, dziś mamy sobotę, nieprawdaż?

— Tak, panie sędzio.

— A więc pan Dambleuse wydalił się wydalił się z domu w sobotę lub wtorek — czy tak?

— Być może.

— To mało! Ja muszę wiedzieć, którego to dnia było! Zastanów się mój przyjacielu! W środę, czy też we wtorek.

— Zaraz, zaraz... — przypominał sobie Izydor. — To nie są rzeczy tak łatwe do zapamiętania... Ah! już wiem!

— Już wiesz!?

— Tak. To było w przeddzień przybycia ślusarza!

— Ślusarza?

— Tak. Przyszedł naprawiać zamki.
— Znasz go?
— Oczywiście. To Mallard z Reiney.
— I cóż dalej?
— Nawet pan mi powiedział, pamiętam: „Kiedy Mallard przyjdzie, powiesz mu, że chcę z nim pomówić!". Tylko jak Mallard przyszedł o godzinie ósmej, to pan spał jeszcze.
— Spał jeszcze?
— I to tak silnie, że budziłem go z trudem.
— No! No!
— Mallard nawet powiedział: „Twój pan, Izydorze, musiał się dobrze bawić tej nocy, kiedy z łóżka wstać nie może!
— Tak powiedział!
— Tak, panie sędzio. To było we wtorek.
— We wtorek!? Na pewno?
— Na pewno! Na pewno! — twierdził z przekąsem Izydor. — Zresztą zapytać pan może Mallarda. Wreszcie to przecież nie jest rzecz tak ważna...
— Tak sądzisz mój przyjacielu?
— Tak mi się zdaje.
— Możesz się mylić, mój kochany i przekonasz się, że tak jest, skoro usłyszysz, co ci powiem teraz...
— Co takiego, panie sędzio! — szepnął służący, cofając się z niepokojem.
— Mój przyjacielu, twój pan wychodził wczoraj, a kapitan de Limandoux również wczoraj zamordowanym został. Wychodził z domu we wtorek i w tym to dniu popełniono morderstwo na senatorze Poivier. Zrozumiałeś teraz?
— Ależ panie sędzio... — próbował coś tłumaczyć służący, lecz sędzia przerwał szybko:
— Nie jesteś mi już potrzebnym. Możesz odejść.
I Izydor zmieszany i niespokojny, wysunął się z gabinetu, kłaniając się panu Giroux, niezgrabnie.

Klientka.

Kiedy ukończyłem czytanie tego sprawozdania, umieszczonego w „Burzy", była już godzina trzecia. Nie wiedziałem co czynić dalej, bo Dalton odchodząc, nie pozostawił mi żadnego zlecenia. Po długim namyśle postanowiłem udać się do niego, zasięgnąć wiadomość i już wstałem, aby zadzwonić na służącego, kiedy tenże wszedł z własnej woli i podał mi list.
— Skąd to? — zapytałem zdziwiony.
— Nie wiem, proszę pana. Przyniósł go jakiś groom.
Rozerwałem kopertę i przeczytałem:
„Czekam na ciebie w mieszkaniu. Przychodź zaraz — Paweł".
W kwadrans później znajdowałem się już na ulicy d'Assas.
Przyjaciel mój wydawał się podniecony, co było a niego rzeczą bardzo rzadką. Jak tylko wszedłem, podał mi list otwarty.
— Czytaj...
— Co to?
— To jest list, który doszedł do mnie za pośrednictwem „Burzy".
— Za pośrednictwem „Burzy" — powtórzyłem zdumiony.
— Czytajże, to zrozumiesz — zniecierpliwił się Dalton.
List był adresowany do pana Igglus:
„Proszę pana — brzmiała treść jego — o naznaczenie mi dziś jeszcze widzenia. Adresuję list ten do „Burzy", sądząc, że tym sposobem dojdzie do pana. Cały dzień oczekiwać będę odpowiedzi w Grand-Hotelu, gdzie zajechałam.
Z poważaniem — Marta de Beaumont".
— Cóż ty zamierzasz teraz uczynić? — zapytałem Daltona.
— Odpowiedziałem natychmiast, że oczekuję pannę de Beaumont. Przybędzie tu zaraz, ale zdaje mi się, że mamy jeszcze przed sobą kilka minut spokoju. Skorzystałem z nich, aby się porozumieć z tobą. Trzeba ci wiedzieć, że teraz dopiero wchodzimy w okres prawdziwej walki. Być może, że będziemy niekiedy zmuszeni rozłączyć się w ciągu tej walki. Ale co bądź się stanie, musisz wypełnić misyę ci powierzoną. Powracać zawsze będziesz tutaj, na ulicę Assas, gdzie będzie nasz punkt zborny i czekać będziesz albo na mnie, albo na człowieka przysłanego przezemnie. Czy zgadzasz się na to?
— Oczywiście.
— Wrócisz tutaj zawsze, cokolwiek zajdzie?
— Wrócę.
— Dobrze — odpowiedział Dalton.
W tej chwili zadźwięczał dzwonek przy drzwiach.
— To ona — szepnął mój przyjaciel, zrywając się.
Służący wszedł, oznajmiając, że panna de Beaumont prosi o chwilę rozmowy.
— Proś tutaj.
Po chwili weszła panna de Beaumont w ciężkiej żałobie. Była wysoka, smukła, ruchy miała poważne i wytworne.

C. d. n.

ALFONS DAUDET.

BANDYTA GUASTANA

Rozpoczęto grę t. zw. „Scopa", która zajęła całą uwagę Guastana i Matea. „Scopa" jest to gra wynaleziona jedynie dla Korsykanów; cicha, tajemnicza, pełna chytrości i szpiegostwa. Obserwowałem obydwóch graczy, siedzących naprzeciw siebie, którzy starali się nawzajem podejść i oszukać. Karty trzymali tak zręcznie, że żaden nie zdołał dojrzeć, co drugi ma w ręku. Z największem zajęciem przypatrywałem się staremu Guastanie, światło świecy padało na twarz jego, widziałem, że podobny zupełnie do fotografii danej mi przez prefekta; miał nawet na sobie ten sam surdut i kamasze, ponad kolanami spięte sprzączkami miedzianemi. Dostrzegłem również to, czego fotografia oddać nie może, to jest przepaloną od słońca bronzową skórę twarzy, ta zwyczajną żywość wszystkich jego ruchów, co zadziwiającem było w jego wieku. Dalej głos chropowaty i silny, do jakiego zwykle przyzwyczajają się ludzie, którzy żyją w samotności. Mateo miał o wiele zręczniejsze, rzecby można, zgrabne ruchy. Siedział on po drugiej stronie stołu, patrząc spokojnie oko w oko człowiekowi, którego zamierzał zdradzić. Ani na chwilę nie okazał zakłopotania i sumienie nie robiło mu wyrzutów o to, co zamierzał uczynić.
Upłynęło w ten sposób blisko dwie godziny. Zaledwie zdołałem się utrzymać, aby nie zasnąć w tym zaduchu tytoniowym i przy jednostajnych wykrzyknikach graczy, „Dette sette! Dett otte!". Tedy owe oczy mi się zamykały, lecz zbudził mnie zawsze nowy poświst wiatru, grożący zdmuchnięciem świecy.
Nagle Bruccio począł warczeć, poczem wybuchnął zajadłem głośnem szczekaniem. Jak gdyby do boju uderzono, powstał nagle zgiełk w izbie. Stary Guastana wyszedł za drzwi, lecz wrócił coprędzej, zaklął gromkim głosem, porwał za strzelbę stojącą w kącie, narzucił ją na ramię i jednym skokiem wypadł z domu. Mateo i ja spoglądaliśmy na siebie ze zdumieniem, kiedy do chaty wpadło dwunastu żandarmów z odwiedzionymi kurkami u nabitej broni, wołając:
— Poddajcie się!
Zanim zdołaliśmy się zoryentować, już nas pochwycono, powalono na ziemię i skrępowano. Chciałem powiedzieć, kto jestem, jak się nazywam, nie słuchano mnie, odpowiadając:
— Już dobrze! dobrze! do tłómaczenia się będziecie mieli dosyć czasu, gdy do Bastia przybędziemy.
Popychając kolbami, wypchnięto nas za drzwi, a za najmniejszy opór bito pięściami w piersi. W bliskości chaty czekał wóz więzienny, na jakim zwykle zbrodniarzy transportują; było to obrzydliwe, cuchnące pudło. Po obu stronach wozu ustawili się żandarmi z dobytymi pałaszami i tak dość prędkim krokiem wieziono nas do Bastia.
Co za zbytek siły zbrojnej, aby transportować bezbronnego radcę prefektury!
Kiedy przybyliśmy do Basta, był już dzień biały. Zachwycający obraz przedstawił się moim oczom, gdy nas przywieziono na dziedziniec więzienny. Cesarski prokurator, szef żandarmeryi i dyrektor więzienny stali, czekając niecierpliwie rezultatu wyprawy.
Wysadzono nas nareszcie, lecz jakież było zdziwienie wachmistrza żandarmeryi, który mnie z tryumfem oddał swemu szefowi, gdy widział, że cesarski prokurator sam i wszyscy inni panowie własnoręcznie odwiązywali me pęta, przepraszając i prosząc o przebaczenie.
— Czy to być może, panie baronie, że to pan jesteś? Cóż te wartogłowy za głupstwo popełnili? Jakże się to stać mogło? — zapytaniom nie było końca.
Wkrótce wyjaśniła się cała sprawa. W niedzielę odebrał prokurator w Bastia telegraficzną depeszę z Porto Vecchio z uwiadomieniem, że bandyta Guastana jest obecnie w wiosce Solenzara. Szczegóły, wyrażone w depeszy, brzmiały tak stanowczo, że zdawały się nie ulegać najmniejszej wątpliwości.
To jedno słowo *Porto Vecchio* naprowadziło mnie na domysł prawdziwy.
— Od kogo odebrałeś tę depeszę, czy od swego pomocnika? — zapytałem.
— Tak jest, od niego samego, jest to bardzo zaufania godny i pracowity młodzieniec — dodał prokurator.
— O Boże! zaufania godny! — pomyślałem — mógłbym i ja coś o tem powiedzieć.
— Nie doniesie on mi nigdy nic takiego, o czem nie jest mocno przekonany; przez myśl nam nie przeszło, abyś pan mógł być tam w tych stronach na polowaniu i abyś mógł nocować u krewnego osławionego bandyty. Pomimo woli zgotowaliśmy panu tak nieprzyjemną noc, atoli znając twoją moc ducha, sądzę, że nie będziesz sobie pan brał tego do serca. Czy może się spodziewać, że nie masz mi pan tego za złe? A teraz mam honor prosić pana, abyś zechciał zjeść u mnie śniadanie. Panie wachmistrzu — mówił, wskazując na Matea — odprowadź pan tego człowieka, później go przesłuchamy.
Nieszczęśliwy Mateo był na pół martwy z przestrachu, rzucał on na mnie spojrzenie aż nadto wymowne, że nie zasługuje na takie postępowanie.
Nie mogłem tedy zrobić inaczej, jak wyjaśnić całą sprawę, że prawdziwy winowajca uszedł żandarmom. Wziąłem na bok prokuratora i opowiedziałem mu rzecz całą szczegółowo. Gdy słuchał mego opowiadania, widoczna w nim zachodziła zmiana; znikła z jego twarzy wszelka okazywana mi wpierw życzliwość, a natomiast pojawił się zimny, nieprzystępny radca sprawiedliwości.
— Możesz pan łatwo pojąć — odezwał się wreszcie — że na prefekturę jestem rozgniewany. Mając jednakże w mym ręku krewnego Guastana, nie myślę wcale wypuścić go stąd. Będzie on poprostu wraz z towarzyszami donosił bandycie proch i żywność, a temu trzeba raz koniec położyć.
— Ależ panie prokuratorze, ja panu zaręczam, że ten człowiek działał z polecenia prefektury! — odrzekłem.
— Jeżeli tak, tem bardziej go nie uwolnię. Pokażę tym panom urzędnikom rządowym, że ta sprawa wyłącznie do mego wydziału należy. Niech się nie mieszają do rzeczy, do których absolutnie najmniejszego nie mają prawa. Jakto, na całej Korsyce tylko jedyny bandyta się znajduje i tego mi pozazdroszczono? To moja zwierzyna! Pan, jak widzę, jesteś także myśliwym — mówił dalej ironicznie, spoglądając na moje myśliwskie uzbrojenie — czybyś pan zniósł spokojnie nieprawne wdzieranie się w twe myśliwskie prawa, panie radco?
Powtórzyłem już niejednokrotnie pańskiemu prefektowi, że ja sam schwytać chcę bandytę Guastana, a nie kto inny. Jeżeli on jest uparty, to i ja postąpię wedle obowiązków mej służby. Wasz ukochany Mateo pozostanie tymczasowo pod strażą, prefektura może go reklamować. Najlepiej wyjdzie na tem sam bandyta, gdyż ta sprawa dojdzie do jego uszu i będzie się strzegł odtąd tak swego krewnego, jak prefektury i jej myśliwych.
Stało się, jak przepowiedział ten człowiek, który chyba z dyabłem był w spółce. Po upływie miesiąca zarządzono śledztwo i wezwano prefekturę.
Sekretarz jeneralny i ja mieliśmy miły obowiązek reklamowania szpiega, a nadto ja musiałem wobec całego forum sądowego opowiedzieć całą awanturę, która mnie spotkała. Można sobie wyobrazić, jak się słuchacze moim kosztem bawili.
Radca prefektury, wieziony pod eskortą w wozie więziennym! — słowem zrobiliśmy fiasco.
Mateo został uwolniony, lecz na nic nam się to już zdało, gdyż Guastana, dowiedziawszy się już o zamierzonej zdradzie, strzegł się już swego krewnego i wreszcie opuścił zupełnie ziemię rodzinną.

KONIEC.

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

I)

Kto tylko odbywał morskie podróże na zwykłym okręcie, wie dobrze o tem, że podczas kiedy jedna połowa załogi okrętowej zasypia, druga połowa musi czuwać na pomoście. Te godziny czynności i spoczynku na równe są podzielone części, cztery godziny trzeba koniecznie czuwać, zato znów cztery godziny spać można. Ostatnia kolei tego czuwania nocnego nazywa się *Djanną*. Skąd to pogańskie nazwisko, niewiadomo, ale majkowie nigdy inaczej tej warty nie nazywają. Podczas Djanny rozdziela się między nich kawę i wódkę, jest to więc najsposobniejsza chwila do rozpowiadania wszystkich historyi, których niezliczona masa krąży pomiędzy nimi. Nie trzeba także zapominać, że podczas Djanny następuje wschód słońca i dzień rozpędzając cienie nocne, ożywia i rozjaśnia wszystkie przedmioty i twory. A więc majtkowie milczący aż do chwili ukazania się słońca, zgromadzają się wówczas w kółko, około jakiego Homera okrętowego, który ubiegłe pamiątki różnobarwnej przeszłości malowniczo ożywia przed nimi.

Okręt kupiecki pod nazwiskiem *Kokietka z Ajaccio*, w którym przeprawiałem się z Tulonu do Messyny, posiadał w łonie swojem oprócz najlepszego z kapitanów *Giacomo Perfumo*, jednego z tych niezmordowanych opowiadaczy, którzy umieją tak zająć i rozerwać zbyt częste nudy majtków i pasażerów. Któż nie znał majstra Gandolfa? czegóż on nie dokazał przez te czterdzieści lat, podczas których żeglował na morzu Śródziemnem, oceanie Atlantyckim, oceanie Spokojnym, morzu Indyjskiem, Chińskiem i Lodowatem. Majster Gandolf polował na śledzie i wieloryby, wojował w Egipcie, Hiszpanii i Indyach, był w niewoli angielskiej, utracił w różnych bitwach oko i kilka palców u ręki, ale mówiono, że najznakomitszym jego czynem było wdawanie przez kilka lat niemego na pontonach w Plymouth, inaczej bowiem nie byłby mógł uzyskać wolności. Przez całe pięć lat słowa marnego nie wyrzekł, ale też potem umiał on za to odbić się za swoje.

Chociaż ozdobiony zaszczytnym tytułem *majstra*, był on jednakże prostym majtkiem tylko, ale jego wiek i doświadczenie nadawały mu prawo do tego tytułu. Zresztą chociażby go nazywano kapitanem, nie przydałoby to mu wcale dumy. Gandolf wierzył, że najpiękniejszy tytuł, to tytuł majtka, bo to był najpiękniejszy stan podług niego, bo morze było dla niego ozdobą stworzenia. Ocean był jego przeszłością, teraźniejszością, przyszłością, przyjacielem, rodziną. Morze też stało się i grobem dla niego. Niech śpi spokojnie na swojem miękkiem łożu piasku koralów i zielska podmorskiego, jeżeli Neptun powołał go do siebie, Neptun, jedyny z bogów, którego on uznawał!

Pewnej więc nocy, podczas Djanny, majster Gandolf zgromadził swoich słuchaczy około siebie, żeby im rozpowiedzieć historyę, której malowniczy sposób opowiadania napróżnoby pióro moje starało się naśladować. Wyznaję, że nie zawsze z natężoną uwagą przysłuchiwałem się tym wszystkim opowiadaniom. Nie wielką bowiem przywiązuję zazwyczaj wiarę do prawdomówności tych poczciwych marynarzy. Ale tym razem zaledwie majster Gandolf parę słów wyrzekł tylko, zaraz coś mnie pociągnęło do niego i nakazało słuchać jego historyi. Dotykał bowiem faktu, mającego bliską styczność z prawodawstwem współczesnem, a którego opis zdarzyło mi się już czytać poprzednio.

On zaś był uczestnikiem tego wydarzenia i rozbudzał we mnie różne wspomnienia. Po dwudziestu pięciu czy trzydziestu latach majster Gandolf rozpowiadał jako świadek naoczny, sprawę, której protokół miałem był w moim ręku. Pozwoliłem mu jednak mówić, przyrzekając sobie w duchu porównać jego opowiadanie z książkami angielskiemi i francuskiemi, mówiącemi o tym wypadku, które najspokojniej na mnie w domu czekały. Nie wyrzekł on przecie ani słowa, któreby nie było rzeczywistą prawdą. Tem więc powieści mojej są te wspomnienia opowiadań okrętowych majstra Gandolfa, które ja odżywiem w mojej pamięci i obleklszy, puszczam w świat uporządkowane tylko i porównane z prawdą.

Będzie zapewne tym obrazom brakowało okrętu, który je kołysze i nadaje im, że tak powiem, życia, nieba, które je tęczą okala lazurową, morza i wiatrów, które były dla nich echem wielkiem i nieskończonem, i tych prostych słuchaczy, których dusze i serca wyłącznie tylko opowiadaniem i opowiadającym były zajęte, będzie im brakowało okrętu, którego cień wielki odbije się na falach morskich, okrętu, który jest widownią, widzem i aktorem nawet, jeżeli się na nim morską rozpowiada scenę.

Będę się przynajmniej starał zostawić temu opowiadaniu jego żywość i prostotę i wolność dyalogu, w której majster Gandolf naśladował Platona, Sokratesa, Lucjana, Senekę i Montaigne'a, nie znając ich wcale. Prawda, przedstawiona nago, nie przestaje być prawdą.

Majtkowie „Kokietki z Ajaccio" mówili:

— Rozpowiedz nam twoją historyę, majstrze Gandolf.

— Dobrze przynajmniej, że ją nazywacie historyą, bo to rzecz najprawdziwsza w świecie. Było to 1815 roku 15 Lutego.

— Musiało dyabelnie zimno być na świecie.

— Ba, przejeżdżaliśmy właśnie przez południk, wracaliśmy z Chandernagore, a jechaliśmy do Brestu.

— To musiało być dyabelnie gorąco. Mówią, że kiedy się jest na linii południowej, to potrzymawszy tylko w ręku jajko przez chwilę, może się najwyborniej ugotować.

— I ręka także.

— Jungo cicho, mów dalej majstrze Gandolf, słuchamy cię.

— Tej nocy wiatr był wściekły, zanosiło się jakoś na burzę. Ponieważ w tych stronach okręty, które jadą do Indyi i wracają stamtąd, często spotykają się z sobą, a że każde takie spotkanie w nocy bardzo niebezpieczne, postawiono mnie na warcie na tyle okrętu, żebym dał znać, jeżeli się jaki okręt będzie zbliżał do nas. Mogli byli z tym samym skutkiem na spód okrętu mnie wpakować, bo było tak ciemno dokoła, że człowiek własnego nosa by nie zobaczył. Zdawało się, że piękna Arsenja, takie było imię statku, płynęła po morzu kawowem.

A zresztą deszcz lał jak z cebra; morze wydęło się, jak wielka ropucha, moja czajka ważyła 500 funtów, a nie mogłem odjąć nóg od pomostu, jak gdybym ołowiane buty miał na nich. Woda ciekła ze mnie ciurkiem. Wytupiałem oczy jak gały, ale gdzie tam, ani na krok nic dojrzeć przed sobą.

Mogła być północ sama, nagle ni z tego ni z owego, zostałem rzucony o jakie 15 czy 16 kroków w tył na pomost, a tył okrętu zanurzył się w wodę tak ostro, że nim się podniosłem, jużem był wypił z beczkę wody słonej. Upadłem pomiędzy różnemi rzeczami, które upadały; maszty, liny, drągi, baryłki, ludzie, wszystko się staczało jedno na drugie, z takim hałasem, jękami i przekleństwami, że strach było styszeć.

Chwilę trwało to tylko, ale przez tę jedną chwilą mogłem odgadnąć przyczynę tej niespodzianki. Powodem tego było uderzenie innego statku, który nie widząc nas, zetknął się z nami niespodzianie. W kilku minutach „piękna Arsenia", okręt nasz zbudowany w Breście, a bryg piękny i okazały jak panienka, który mógł bez wytchnienia przy dobrym wietrze robić dziesięć mil drogi na godzinę, strzaskała się jak kawał spruchniałego drzewa, chwiała się jeszcze przez chwilę i dała nurka w tą wielką filiżankę, z której każdy z nas pójdzie pić prędzej, jeżeli taka będzie wola Pana Boga, i świętych patronów naszych.

Podajcie no mi tytoniu.

— Jakto? to już opowiadanie skończone? — zapytał się Junga.

— Jakiś głupi, chcesz, żeby to już był koniec, przecież widzisz majstra Gandolfa przed sobą. Gdyby utopił się, nie mógłby...

— Cicho — zawołał cieśla okrętowy. — Ma głos majster Gandolf, a my otwierajmy uszy, jak dziury od armat. Cóż dalej majstrze Gandolf?

— Nigdy nie mogę zrozumieć, żebym sobie łamał, nadłamał głowę i suszył mózg Bóg wie jak długo, jakim sposobem z katastrofy, gdzie wszystko zginęło, bydlęta i ludzie, drzewo i żelazo, żagle i liny, że ani dymu, ani popiołu nie zostało się po tym okręcie, przed chwilą tak pięknym i licznie zamieszkanym, ja jedynie ocalałem, ja sam z dwudziestu pięciu osady i trzydziestu trzech pasażerów, i to nie wiedzieć jakim sposobem znalazłem się na okręcie, którego spotkanie z nami stało się przyczyną naszego nieszczęścia.

— To się jednak zdarza czasami majstrze Gandolf.

— Zapewne, że się musi zdarzać, kiedy widzicie mnie tutaj.

— A cóż to był za okręt.

— Angielski.

— Jakby naumyślnie, na złość tobie majstrze Gandolf.

— Tak, to była wielka gabara angielska. Ale o tem potem, a teraz dość wam będzie wiedzieć, że jak otworzyłem oczy i otrząsłem się trochę, choć to łatwo mówić otrząsłem się, kiedy Bogiem a prawdą ruszyć się nie mogłem, byłem bowiem tak potłuczony i przygnieciony, że przez trzy dni potem do siebie przyjść nie mogłem, zdało mi się, że jestem w gościnie u starego Neptuna tego patrona topielców. Miałem ogromną ilość żagli, lin i płótna ceratowego na rękach, na nogach, na piersiach, na całem ciele, i czułem jak po mnie chodzono. Przez chwilę zdało mi się że jestem w brzuchu wieloryba. Ale wracając do przytomności pomiarkowałem wkrótce, że muszę się znajdować na jakimś okręcie.

— Ale nic nie miałeś stłuczonego.

— Nic, oprócz mojej fajki gipsowej, bo ci Anglicy to nawet żałując człowieka, muszą mu szkodę wyrządzić.

— No no, majstrze Gandolf, to już przeszło, teraz nie masz przecie do czynienia z Anglikami.

— Z Anglikami zawsze jest do czynienia. Widzę to dobrze, żeście jeszcze strasznie młodzi, o! żebyście byli w skórze ojców waszych... Wystawcie sobie... ale nie, wy nie możecie sobie tego wystawić. Oni wszyscy rudowłosi, mają zęby długie, a paznokcie czarne i ostre,, chleb nazywają bread a nie jedzą go wcale., pocóż go mają u djabła? jedynie tylko, żeby nam zrobić na przekorę.

— A jednak majstrze Gandolf, gdyby nie Anglicy, nie żyłbyś już może.

— To wolałbym zginąć, niż być ocalonym przez tych Anglików, dobranoc — już nic nie powiem dalej.

To mówiąc Gandolf zapiął spencer, nasunął czapkę na uszy i został nieruchomy jak posąg marmurowy, chociaż krew się burzyła w nim wściekłością na Anglików.

— Długoż nas tak zostawisz w oczekiwaniu majstrze Gandolf, przecież my nie Anglicy... no...

— Już nic nie powiem, odrzekł majster Gandolf, rozcierając na proch pomiędzy zębami gipsowy cybuszek.

— Przyznaj się ze straciłeś pamięć...

— Ja straciłem pamięć, ja który nie zapomniałem nazwiska żadnego z tych łajdaków, ja który każde ich słowo pamiętam, bo na nieszczęście umiem mówić ich psim językiem; dość drogo opłaciłem tę naukę; pięć lat przebyć na pontonach, to nie zła szkoła, przekonacie się zaraz, czy pamięć straciłem.

Miłość własna majstra Gandolfa złapała się w sidła zręcznie nastawione na nią, to też mówił dalej zapaliwszy drugą fajkę:

— Leżąc więc przywalony temi wszystkiemi sprzętami usłyszałem te słowa po cichu w angielskim języku wymówione:

— Czy to ty Ascott?

I odpowiedziano przytłumionym głosem:

— Tak, to ja Carterze.

— Czyś się widział z naszymi ludźmi?

— Tak.

— Wieluż ich było?

— Tylu ilu sam mi wyznaczyłeś.

— Dwunastu.

— Tak dwunastu, najtężsi, Hermen, Green, Harrison, Horsley, Lindsay, Richards, Samuel, Chapman, Greufel, Tajlor.

— To są rzeczywiście najdzielniejsi pomiędzy całą osadą Niagary. Serca stalowe, żelazne dłonie, ale reszta?

— Reszta pójdzie za przykładem wodzów, czyś już zadowolony?

— Ascocie...

— Co?

— Czy porucznik Tompson nie zwraca przypadkiem na nas w tej chwili uwagi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

W miarę jak karnawał rozwija się, rośnie też i nastrój karnawałowy, Kraków rozbawił się jak nigdy dotąd, niema dnia bez balu publicznego lub choćby większej zabawy prywatnej, do dziewiątej rano ulice jakby wymiótł, wszystko odsypia zaległości przetańczonej nocy. Zawołani danserzy działalność swą humanitarną obliczają już na kilometry. Tańczy się pod rozmaitymi pretekstami, najczęściej, oczywiście, na cele dobroczynne, aby być wobec swego sumienia wytłómaczonym, że się ma pieniądze do wyrzucenia na zabawę, a stale narzeka się na ciężkie czasy i upomina o poprawę bytu. Krakowscy krawcy, ukończywszy polowanie na „faszerów", przypomnieli sobie Boże Narodzenie i urządzają tańcujący „opłatek", na który zapraszają współpracowników igły i nożyczek oraz przyjaciół swego artystycznego zawodu.

Na ulicy słyszy się coraz częściej podobne rozmowy:

— Będziesz dzisiaj w Kasynie wojskowem? Zapowiedziano wieczór z kotylionem...

— Ani mi się śni!... Jestem zaproszony do Paskarskich na przyjęcie z gorącą kolacyą, a taka okazya nie prędko się znowu trafi!...

Albo:

— Idziesz na Redutę prasy?

— Oczywiście!... Nie obeszłoby się tam bezemnie... Będzie tam *tout Cracovie*. Zapowiedziane są liczne niespodzianki z wykluczeniem jednak takich, jak w ubiegłym roku...

Reduta prasy, mająca się odbyć w dniu pierwszego lutego, będzie w tegorocznym karnawale punktem przełomowym. Czas na jej urządzenie wybrano bardzo odpowiedni, bowiem pierwszy dzień w miesiącu, kiedy każdy, choćby nawet nie chciał musi mieć pieniądze, nazajutrz wypada zaś święto (zdaje się, że przez Sejm nasz skasowane!...), w wypoczynku zasłużonym zatem nikt nie przeszkodzi. Dalsze zabawy, w miarę zbliżania się końca miesiąca i końca karnawału, nie będą już tak ochocze, chyba, że Rząd uwzględniając wyjątkowe położenie, zdecyduje się w roku bieżącym trzynastą płacę miesięczną wypłacić już w ciągu lutego. Manifestacyjny wiec urzędników w Warszawie, urządzony pod gołem niebem, poruszył także i tę kwestyę, wzywając ministra Michalskiego do zajęcia się losem funkcyonaryuszy państwowych, a rezolucya, przyjęta jednogłośnie, brzmiała krótko, lecz dobitnie: „Dawaj mopy, albo bądź zdrów!..." Ponieważ zaś kasy państwowe są obecnie należycie „wywietrzone", a sprawa daniny ciągle jeszcze utyka, Towarzystwo O. P. K. (Onufry... pakuj kufry!...) może bardzo łatwo i bardzo prędko znaleźć nowego klienta.

Gdy rozkarnawałowanie publiczne wzmaga się z dniem każdym, prywatne natomiast pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza dla rodzin liczniejszych, mających panny na wydaniu, rozstrojony fortepian i bodajby jeden z pokoi większy, nadający się do urządzenia tańców w kilkanaście par. Tak zwane „pikniki familijne" na których jeszcze w czasie wojny tak się doskonale bawiono, i tak niewielkim kosztem, znikły już prawie zupełnie z widowni. Zbierało się kilka rodzin zaprzyjaźnionych, które dostarczały wszelkiego jadła, panowie starali się o trunki, orkiestrę zastępowała przy fortepianie ciocia, którą w ciągu wieczora wyobracał ze dwa lub trzy razy z wdzięczności ktoś z danserów, aby sobie przypomniała młodsze lata. Zabawa trwała do samego rana, a że była nie wymuszona, była też tem przyjemniejsza. Najlepiej na niej wychodziła rodzina, rozporządzająca obszerniejszem mieszkaniem, rozklekotanym fortepianem i muzykalną ciocią, resztki „półmisków" pozostawały bowiem na jej *łonie*. Zostawało zaś dosyć i wystarczyło rodzinie nieraz i na cały tydzień, bo kto tam myślał wówczas o jedzeniu, gdy głowę miał nabitą tańcami, gdy po niej chodziły różne Kazie, Stefcie, Manie, Zosie, Janki i tp. A panienki, jako gospodarne stworzonka, pamiętały o domowej aprowizacyi i robiły słodkie oczko do chłopczyków, aby ich nastroić poetycznie i pozwolić zapomnieć o tak prozaicznej czynności, jaką jest jedzenie.

Dziś te swobodne familijne zabawy, podczas których kojarzyło się tyle stadeł małżeńskich, co było i na chwałę Bogu i na pożytek ludziom, należą już, niestety, do przeszłości, a ta zapewne nigdy już nie wróci. Obecnie dewizą każdego: „jeśli się bawić, to tak, aby cały świat widział".

Jedni tylko paskarze i lichwiarze wojenni wolą się bawić w swem kółku, aby nikt nie bryzgał im w oczy zarzutem, że te zabawa za cudze pieniądze, okupione łzami i potem innych. Na taką zabawę warto byłoby się dostać, ale jest to połączone z daleko większemi trudnościami, niż wdarcie się w głąb litewskiego matecznika, tak pięknie i barwnie opisane w „Panu Tadeuszu". Według słów poety „Trud, Trwoga i Śmierć bronią tam przystępu"..., tutaj zaś nieprzynależność do cechu paskarskiego.

Jednem słowem karnawał tegoroczny odpowiada zupełnie oczekiwaniom, czy zaś jego skutki będą również pomyślne, to jest, czy wprzęgnie on odpowiednią ilość par w jarzmo małżeńskie, przyszłość dopiero pokaże, a miejski Urząd Statystyczny potwierdzi.

Kronikarz, wierny swej zasadzie i Weronice, po balach się nie szwęda, czas ten spędza natomiast w domu, przykładnie na łonie rodziny, grzejąc się wobec nieopalonego pieca ciepłem życia familijnego i zastanawiając się, teraz już zupełnie na seryo, czy ma postawić swą kandydaturę do Sejmu i na zasadzie programu którego stronnictwa. Wydaje mu się najodpowiedniejszym własny program, który byłby streszczeniem wszystkich innych, aby każdy z wyborców mógł nań głosować bez obawy ściągnięcia na się zarzutu, że się sprzeniewierza swemu stronnictwu. Ułożenie takiego programu jest jednak bardzo trudne, trudniejsze częstokroć od współżycia w jednej klatce kota i kanarka. Nad tem łamie sobie teraz głowę, aby te kontrasty jakoś pogodzić, a dzielnie w tem dopomaga mu Weronika, okazująca coraz wybitniejsze zdolności polityczne i obiecujący materyał na „żonę stanu".

Ostatecznie przeciw ubieganiu się Weroniki o mandat poselski kronikarz nie miałby nic, obawia się jednak, że, gdyby obydwojgu się poszczęściło i, jak na zgodne i kochające się małżeństwo przystało, wyleźli z urny wyborczej jako posłowie, łatwo staćby się mogło, iż magistrat, po wyjeździe ich do Warszawy, zarekwirowałby ich mieszkanie na pomieszczenie jakiegoś nowego urzędu, lub dla jakiej wysoko postawionej w politycznym świecie osoby, naprzykład przyrodniego brata ciotecznej siostry kucharki konsula czeskiego.

System oszczędnościowy ministra Michalskiego robi swoje. Znosi się niepotrzebne urzędy, w pozostałych redukuje się liczbę pracowników, aby jednak zwolnieni ze służby nie pozostali bez chleba, a są to przeważnie ludzie protegowani, zakłada się nowe urzędy. Narzekaliśmy swojego czasu na austryacki biurokratyzm, tymczasem widzimy, że w młodej Polsce pod tym względem jest daleko gorzej. Urzędów mamy jeszcze więcej, niż ich było dawniej, a co ważniejsze, przeważnie żaden z nich nie wie, jaki jest właściwy zakres jego działania, interesantów odsyła się też z jednego do drugiego, nie bacząc na to, jakie dziś obuwie drogie.

Weronikę groźba rekwizycyi mieszkania wytrąciła na chwilę ze zwykłej równowagi, wnet jednak opamiętała się i rzekła:

— O to niema obawy!... Z posłami muszą się liczyć... Zresztą poseł jest nietykalny, nietykalnem jest zatem także i jego mieszkanie!

Aczkolwiek jest kronikarz zwolennikiem równouprawnienia obu płci, do pewnych jednak tylko granic, nie lubi mianowicie niewiast politykujących, gdyż z tem im stanowczo nie do twarzy, także cierpiących na grafomanię, te bowiem są prawdziwą plagą ludzkości. Na zgromadzeniach, wiecach i t. p. może się wprawdzie niewiasta należycie wygadać i to jej zwykle dobrze robi, traci jednak cały urok niewieści, gdy wpadnie w ferwor, zacznie krzyczeć, machać rękami, tupać nogami, fryzura zbakieruje się, a puder, w połączeniu z potem wytworzy na obliczu smugi klajstrowe. Gdyby się sama w tej chwili zobaczyła w lustrze, z pewnością przestraszyłaby się sama siebie, a cóż dopiero ma powiedzieć patrzący na nią mężczyzna, któremu każą wierzyć, że to anioł w ludzkiem ciele, gdy natomiast on widzi przed sobą istotne wcielenie dyabła i, jeśli jest kawalerem straci raz na zawsze ochotę do żeniaczki. Wiedziała dobrze Francya co czyni, nie dając swym kobietom praw wyborczych.

Grafomanka, a takich mamy obecnie całe mnóstwo, o ile tylko uda się jej liznąć nieco bardzo powierzchownego wykształcenia, czuje w głębi swej duszy budzące się natchnienie i uważa się za powołaną do uszczęśliwiania ludzkości swemi pracami, zwykle wywołującemi efekt wprost przeciwny do zamierzonego przez autorkę, często zaś stojącemi w rażącej sprzeczności z najprymitywniejszemi zasadami pisowni.

Znają ją dobrze wszystkie redakcye, referenci literaccy chronią się przed nią nieraz do szafy, ona przecież lada czem zbyć się nie da i trzy razy z rzędu odprawiona z kwitkiem wróci z pewnością po raz czwarty. A niech nieszczęście chce, że dla jej pozbycia się wydrukuje któraś redakcya jej „arcydzieło", za które bynajmniej nie żąda honoraryum, uważa się za geniusz, przed którym w kąt jakieś tam Orzeszkowe, Rodziewiczówny, Konopnickie, Zapolskie i chciałaby, aby jej podobiznę i życiorys (oczywiście nie podając daty przyjścia na ten świat...) zamieściły wszystkie pisma illustrowane, iżby cały świat wiedział, jaką perłę posiada.

Te dwa rodzaje niewiast (często połączone w jednej osobie), o ile są staremi pannami, mniej światu wyrządzają krzywdy, rozporządzając stale wielką ilością wolnego czasu, który zamiast na robienie bajek i snucie intryg obracają na politykowanie lub psucie drogiego papieru. Biada jednak mężowi, mającemu taką żonę!... Nie pytając nikogo o radę powinien się zawczasu powiesić i to na przedwojennym mocnym sznurze, by się przypadkiem nie urwał. Ognisko domowe przy takiej żonie wygaśnie, dzieci, o ile są, mają za guwernantkę kucharkę, mąż szuka pocieszenia poza domem. Takie życie rodzinne to zupełnie wystarczający powód do zwaryowania lub samobójstwa.

Co się tyczy jego własnej osoby, kronikarz czegoś podobnego się nie obawia, już choćby tylko z tego powodu, że na posłowanie Weroniki zgadza się tylko pod tym warunkiem, o ile sam zostanie także wybrany. W ciągu trzydziestoletniego pożycia miał się zresztą czas i sposobność do swej dozgonnej towarzyszki należycie przyzwyczaić, zna ją w roli anioła i dyabła, nie zrobi też na nim przykrego wrażenia jej widok na trybunie, na co zresztą patrzeć nie potrzebuje, Weronika bowiem, jako pełnoletnia, bez jego opieki się obejdzie. A i w najgorszym nawet wypadku, to jest, gdyby ona zdobyła mandat, on zaś nie, jeszcze i wtedy jakoś bez niej potrafiłby sobie dać radę, wojna bowiem nauczyła go wykonywania różnych czynności, w zakres domowego gospodarstwa wchodzących, jak przyszywanie guzików i td. Miejmy jednak nadzieję, że co Bóg złączył, tego urna wyborcza nie rozłączy i wszystko zostanie po staremu, to jest, iż pani Weronika będzie i nadal panią kronikarzową, a nie panią posłiną.

Równouprawnienie obu płci jest w zasadzie teoryą bardzo piękną, ale droga, na jakiej niektóre działaczki społeczne starają się je osiągnąć, nie zawsze jest odpowiednią, często też nie prowadzi do zamierzonego celu i nieraz rodzajowi żeńskiemu wyrządza dotkliwą szkodę, ośmieszając go w oczach świata i to nie tylko męskiego, ale i zdrowiej na stosunki społeczne zapatrujących się towarzyszek niedoli, która Bogiem a prawdą niedolą nigdy nie była, gdyż rodzaj żeński, zwłaszcza w Polsce, wbrew wszelkim regułom gramatycznym stawiany był zawsze na pierwszem miejscu.

Kobieta i bez polityki znaleźć może dla siebie tyle odpowiednich i bardzo wdzięcznych pól do rozwinięcia owocnej działalności, że nie potrzebuje szukać sposobów zdobywania sobie sztucznie znaczenia i uznania. A, aby się pozbyć niewiast, stających do walki o swe równouprawnienie, zależy to wyłącznie od mężczyzn. Wiadomo, że wojowniczość i zapalczywość wzmaga się w miarę przyrostu lat, spędzonych w świętym stanie panieńskim, dochodzi zaś do krytycznego punktu w tak zwanym „niebezpiecznym wieku", na który zwróciła uwagę ogółu pani Michaelis. Kiedy się ten wiek u niewiasty rozpoczyna, to określić trudno, w każdym razie nie wcześniej jak koło trzydziestki, gdy zaczyna już tracić nadzieję, że stanie się dozgonną niewolnicą jakiegoś tyrana, który każe pamiętać o swym żołądku, czystej bieliźnie, guzikach i innych rzeczach z poezyą życia nic wspólnego nie mających. Aby zatem sufrażystek było jak najmniej na świecie trzeba je sprzątać jedną po drugiej, póki czas, ale nie systemem Landru, lecz bardziej legalnym, to jest prowadząc do ołtarza. Sejm nasz jeśli mu dobro kraju leży naprawdę na sercu, powinien był postarać się o podobną ustawę, daleko ważniejszą dla społeczeństwa, niż ośmiogodzinny dzień pracy, spoczynek niedzielny lub oznaczenie, które dni w roku należy uważać za święta, gdyż o tem i bez niego wiemy z kalendarza. Na podstawie takiej ustawy mężczyzna, który do trzydziestego roku życia nie wynajdzie sobie sam dozgonnej towarzyszki, ożeniony zostaje z urzędu. Ponieważ statystyka wykazuje przewagę liczebną kobiet, w szczególniej na uwzględnienie zasługujących wypadkach zezwalać można na dwużeństwo, które dotąd ścigane było przez kodeks karny jako przestępstwo i to jedno z cięższych. Prawodawca, układając odnośny paragraf nie pomyślał napewne o tem, że przestępca sam się już dostatecznie ukarał, bo z jedną żoną kłopotu dość, a cóż dopiero z dwiema, jeśli jeszcze do tego przychodzą dwie teściowe.

Konwent Seniorów, wyszukując ważne sprawy, których załatwieniem miałby się zająć jeszcze obecny Sejm, powinien tę właśnie postawić na porządku dziennym i to już jednego z najbliższych posiedzeń, aby wywołać panikę między kawalerami, lubiącymi pannom zawracać głowę, a nie myślącymi bynajmniej o żeniaczce. Jest to sprawa nagląca, gdyż karnawał skończy się w dniu pierwszego marca, a uczta zaręczynowa ze śledziem jakoś niewyraźnie się przedstawia.

Zakończenie sporu austryacko-węgierskiego.

Na podstawie uchwał Rady Najwyższej część zachodnia Węgier, z miastem Szoproniem miała przypaść Niemieckiej Austryi, co spotkało się z stanowczym protestem tak ludności miejscowej, jak i ogółu węgierskiego. Plebiscyt, który miał być wyrazem woli ludności, przeprowadzony na podstawie porozumienia, doszłego do skutku we Wenecyi między interesowanymi, rozstrzygnął sprawę na korzyść Węgier, jak to było zresztą z góry do przewidzenia. Przeprowadzono go pod okiem Komisyi międzynarodowej w sposób zupełnie bezstronny i bez użycia jakiejkolwiek presyi, wobec wyniku nie pozostało Komisyi nic innego do uczynienia, jak zwrócenie Węgrom kawała ich ziemi, którego chciano ich *iure caduco* pozbawić.

Zwrot Węgrom ich niezaprzeczalnej własności miał miejsce w dniu 1. stycznia b. r., a odbył się w Szoproniu w sposób uroczysty. W kościołach odprawiono uroczyste nabożeństwo dziękczynne, domy przyozdobiono flagami i jedliną, urządzono przegląd wojsk, wydano odezwę do ludności, opatrzoną podpisami wszystkich członków Komisyi międzynarodowej, wygłoszono wiele przemówień, stwierdzających, że dla Węgier rozpoczyna się nowa era.

Jest to prawdą, ale tylko częściową, Węgry załatwiły się na razie z kłopotami od strony zachodniej, gdy natomiast sąsiedzi od północy, wschodu i południa mają ciągle wobec nich jak najgorsze zamiary, a dowodem tego wywiad, jakiego jeden z głównych interesowanych w sprawie węgierskiej, czeski minister spraw zagranicznych dr Benesz udzielił korespondentowi paryskiego *Journala*:

„Trzy razy próbowałem — mówił Benesz — dojść z węgierskim rządem do porozumienia; poraz



Zakończenie sporu austryacko-węgierskiego Uroczystość oddania Węgrom zachodnich komitatów przez przewodniczącego Komisyi międzynarodowej włoskiego jenerała Ferrario, w Szoproniu dnia 1 stycznia b. r.

pierwszy w kwietniu z. r. złożyłem dowody mojej dobrej woli. Nastąpiła wtedy ze strony Karola pierwsza próba zdobycia z powrotem tronu węgierskiego. Pomimo to starałem się prowadzić dalej politykę porozumienia z rządem węgierskim. Doprowadziłem do zjazdu w Maryenbadzie; bezpośrednio potem nastąpiła sprawa Burgenlandu. Pomimo, iż jasno widziałem motywy, które w tym wypadku kierowały Węgrami, składałem dalej dowody mych pokojowych dążeń. Gdy jednak nastąpiła ostatnia próba restytucyi, gdy Karol przybył na Węgry, zadałem sobie pytanie, czy mam prawo prowadzić w dalszym ciągu pokojową politykę, czy to nie naruszy interesów mego kraju. Ponieważ nie było możliwem darzyć zaufaniem budapeszteńskiego rządu, zostawała tylko jedna droga, aby zakończyć ten kryzys, a mianowicie zażądać całkowitego zastosowania się do traktatu w Trianon, rozbrojenia i zamknięcia wszystkim Habsburgom drogi do tronu. Ażeby położyć kres dwulicowej grze Węgier, sąsiedzi ich, państwa małej ententy, weszły ze sobą w porozumienie. Stanowczość, z jaką mała ententa postawiła swe żądania, nie znalazła zrazu uznania w oczach wielkiej ententy. Mimo to jednak, wszyscy sprzymierzeni rozumieją już dzisiaj, że zło sięga bardzo głęboko.

Obecnie — oświadczył Benesz — mogę z całą stanowczością powiedzieć, że tak mała, jak wielka ententa są zupełnie zgodne co do głównych punktów, do których zastosowania się należy Węgry zmusić".

Z odyssei Karola Habsburga.

Sprawa węgierska, o ile dotyczy to powrotu na tron Habsburgów, w szczególności zaś ex-króla Karola, nie zeszła wprawdzie z porządku dziennego, na razie jednak, z chwilą wywiezienia pary królewskiej na Madeirę, pozornie nieco przycichła. Użyliśmy z umysłu wyrażenia „pozornie", gdyż telegramy doniosły niedawno, że ex-królowa Zyta otrzymała pozwolenie wyjazdu na ląd stały celem odwiedzenia swych dzieci, z których jedno rzekomo ciężko zabłabło. Dodawano wówczas, że ma się ona zjawić przed węgierskiem Zgromadzeniem Narodowem wraz z synem Ottonem i odczytać pismo swego męża, mocą którego zrzeka się tenże tronu węgierskiego na rzecz syna Ottona. Nie brakło zapewnień, że Zyta bawi już na Węgrzech, a nawet w samym Budapeszcie, że wszystko, przedewszystkiem zaś armia, przygotowane jest do przeprowa-



Echa konferencyi w Cannes: Trzej prezydenci gabinetów, Benomi, Briand i Lloyd George, podczas gry w „golfa" w przerwie między posiedzeniami.

dzenia przewrotu monarchistycznego. Wspominano o tem także i w węgierskiem Zgromadzeniu Narodowem.

Jak się z ostatnich doniesień pokazuje, królowa Zyta bawiła w samej rzeczy w Szwajcaryi, skąd ją jednak obecnie wydalono, gdyż stan zdrowia chorego dziecka nie wymaga jej opieki. Wobec tego z bratem swym księciem Parma, wyjechała do Francyi, zatrzymując się Lyonie. Dokąd ma się udać w dalszym ciągu nie wiemy, to jest jednak pewne, że starania o zdobycie napowrót korony węgierskiej wychodzą raczej z jej strony, niż ze strony małżonka, będącego tylko powolnem narzędziem w ręku swej energicznej połowicy.

Równocześnie wpadła nam w rękę ciekawa fotografia, odnosząca się do ostatniej, niefortunnej wyprawy państwa Karolów na Węgry. Przedstawia ona przybycie pary królewskiej z Orsowy do Galaczu, gdzie ma wsiąść na oczekujący na nią statek angielski. Dziwnie wygląda moment opuszczenia pociągu kolejowego przez Karola i Zytę, zwłaszcza zaś obecność uzbrojonych żołnierzy angielskich, nie robiących bynajmniej wrażenia „warty honorowej", raczej zaś eskorty, strzegącej jakiegoś niebezpiecznego przestępcy.

„Zmienne losu są koleje..." można śmiało powiedzieć w odniesieniu do rodziny Habsburgów, do tak niedawna jeszcze jednej z najpotężniejszej w Europie. Znalazła się, dzięki wynikom wojny światowej, w sytuacyi prawie krytycznej.

A więc głowa jej, były cesarz Austryi i król węgier, Karol, przebywa ze swą małżonką Zytą, jako wygnaniec, na wyspie Madeirze, a dzieci ich przebywają dotąd w Szwajcaryi. Były arcyks. Karol Stefan mieszka w Żywcu w Polsce, najmłodszy jego syn, Wasyl Wyszywany, chwilowo siedzi w Wiedniu, jako pretendent do nieistniejącego tronu ukraińskiego. Fryderyk - wieszatiel mieszka w Tegernsee w Bawaryi, a jego żona Izabella z synem Albrechtem, jednym z pretendentów do tronu węgierskiego, osiadła w Budapeszcie, gdzie rezyduje także Józef Habsburg z rodziną, zrzekłszy się pretensyi do tronu. Eugeniusz i Piotr Ferdynand Habsburgowie siedzą w Szwajcaryi, skąd ich nie wydalono, ponieważ nic nie wiedzieli o wycieczce ekskróla Karola samolotem na Węgry. Maks, brat Karola, przeniósł się do Bawaryi, a Leopold Salwator (znany z dłuższego pobytu we Lwowie) w okolice Barcelony, gdzie żyje w biedzie, trzyma jednego tylko służącego i niema kucharki. Franciszek Salwator, Henryk Ferdynand i Józef Ferdynand (także osławiony wieszatel i nieudolny wódz z r. 1916), zrzekłszy się wszelkich praw, mogących wypływać z ich urodzenia oraz uznawszy republikę austryacką, mieszkają w jej granicach, pierwszy w Walsee, dwaj drudzy pod Salcburgiem.



Z Odyssei Karola Habsburga: Ex-król Karol z małżonką Zytą po przybyciu do Galaczu opuszczają wagon kolejowy, aby pod strażą udać się na pokład angielskiego okrętu.

Zwycięstwo polityczne Francyi na Wschodzie.

Układ francusko-turecki, zawarty między rządem angielskim a przedstawicielami Francyi, który tyle wrzawy narobił w świecie i zdawał się mieć jako następstwo konieczne porozumienie między Anglią a Francyą, dowiódł jasno, że polityka francuska na wschodzie odniosła tym razem stanowcze zwycięstwo. Wpływy francuskie w Azyi skutkiem tego wzmogły się znacznie, powaga rządu francuskiego podniosła się w opinii tureckiej, co zaś najważniejsza, zapewnili sobie Francuzi w ten sposób wolną rękę w Syryi, do czego oddawna dążyli. Jakie motywy kierowały Francyą przy zawieraniu układu z Turkami, o czem w swoim czasie zawiadomiono rząd londyński, ale nie otrzymano żadnej odpowiedzi, wyjaśnił Briand w swej mowie, wygłoszonej na posiedzeniu francuskiego Senatu:

„Układ ten pozwala nam wykonywać mandat nad Syryą, którą uważamy za kraj o cywilizacyi



Zwycięstwo polityczne Francyi na Wschodzie Misya francuska i nowi rządcy Cylicyi w Yénidjé (Pułk. Maugin, Franklin Bouillon i Haamid bej.

francuskiej. Nie przyszliśmy do Cylicyi w celach podboju, w celach ujarzmienia ludności, którą uważamy za naszych braci. Nie pragniemy, aby żołnierze nasi ginęli na ziemi Syryjskiej".

Briand jest przekonany, że pokój z Turkami przyniesie wielkie korzyści moralne. Mówcy zaprzecza, jakoby układ pokojowy z Angorą miał być faktem nielojalnym w stosunku do sprzymierzonych. Jest bowiem rzeczą jasną — kończy Briand — że dla dzieła powszechnego pokoju Francya nie uczyni żadnego kroku bez porozumienia ze sprzymierzeńcami.

Ludność Cylicyi odnosi się do Francyi z nadzwyczajną sympatyą, przedstawiciel francuski, Franklin Bouillon, był przedmiotem ustawicznych a bardzo serdecznych owacyi. Opinia turecka zupełnie otwarcie chwali politykę francuską na Wschodzie, dając w ten sposób do zrozumienia, że, jako prosta i szczera, prowadzi prędzej do celu, niż kręta i zawiła angielska. Francuzi, zawierając układ z Turcyą, dopomogli jej i skorzystali na tem sami. Anglia, prąc Greków do akcyi przeciw Turkom, chciała jedynie, aby ktoś inny wyjmował dla nich z pieca gorące kasztany, to jest, by się bił z Turkami celem ułatwienia Anglii zawładnięcia Bosforem, który oddawna był jej piętą Achillesową. Jak dotąd, wszyscy z małoazyatyckich opresyi wyszli stosunkowo cało, z wyjątkiem angielskiej pupilki, Grecyi, która poniosła dotkliwą klęskę i straciła na powadze, a jej marzenia o stworzeniu napowrót cesarstwa bizantyńskiego rozwiał wiatr w zupełności.

W obszernej korespondencyi ze Smyrny korespondent konstantynopolskiego „Bosforu" donosi, że proces moralnego rozkładu greckiej armii postępuje niezmiernie szybko. Wysyłanie jednostek, będących w rezerwie, na front, jest niezmiernie trudne, ponieważ żołnierze rzucają broń i uciekają. 18 go grudnia w okolicy Smyrny żołnierze greccy wysadzili w powietrze własny skład amunicyi, ponieważ „mają dosyć wojny". Podczas parady wojskowej, która odbyła się w Smyrnie z powodu przyjazdu następcy tronu, grupa żołnierzy zaczęła wykrzykiwać: „precz z następcą! Chcemy do domu!" Parada została przerwana. Zdaniem korespondenta armia grecka jest absolutnie niezdatną do dalszej walki.



Zwycięstwo polityczne Francyi na Wschodzie: Manifestacye ludności miejscowej na cześć przewodniczącego Misyi francuskiej, Franklina Bouillon w Adanie.

Z lwowskiego karnawału

Tegoroczny karnawał jest i bardzo długi i bardzo ożywiony. Wszyscy tańczą na zabój, jak gdyby chcąc odrobić zaniedbania z czasów wojennych. gdy bawić się nie można było, lub nie wypadało. I dzisiaj nie mamy jeszcze powodu do zbytniej radości, nie wszystko bowiem układa się po naszej myśli, dlatego też bawiący się, aby się uwolnić od skrupułów nie bawią się dla swej przyjemności, lecz, aby w ten sposób pospieszyć z pomocą potrzebującym i nieszczęśliwym, a takich nigdy nie brak. Nie można zatem nikomu robić zarzutu, że wydaje pieniądze na cel tak nieprodukcyjny, jak na zabawę, gdyż on chce w ten sposób przyłożyć swą cegiełkę do ogólnej budowy.

Tańczy się zatem na najrozmaitsze cele, pomysłowości do wynadowania tytułów nie brak, spieszących na wezwanie znajdzie się także wielu i niema obawy, aby się taka zaba a „na cel dobroczynny" nie udała, bodajby pod względem liczby uczestników, bo, co się tyczy dochodu, ten często równa się zeru, instytucya zaś humanitarna, na której dochód zabawę urządzano, odnosi bodaj tę korzyść, że się ją przypomniało światu.



Zwycięstwo polityczne Francyi na Wschodzie: Pociąg wywożący Armeńczyków, którzy opuścili Adanę przed wprowadzeniem nowych rządów.

W szczęśliwszem położeniu znalazł się Komitet, wyszły z łona Stowarzyszenia fryzyerów i perukarzy we Lwowie, a zajmujący się urządzeniem zabawy tanecznej na rzecz „Samopomocy", która ma na pieczy los podupadłych członków Stowarzyszenia oraz wdów i sierot po nich. Wieczorek udał się doskonale, przedewszystkiem zaś osiągnięto właściwy cel, to jest znaczny dochód na cele „Samopomocy".

Z TEATRU.

Miejski Teatr Opera i operetka oraz Teatr Nowości.

Ostatnia nowość: *Księżniczka Foxtrota*, opera w 3 aktach L. Jacobsona i R. Bodanzkiego. Muzyka Roberta Stolza

W zeszłym numerze mówiliśmy o krakowskiej Operze i stwierdziliśmy fakt, że rozwija się ona coraz pomyślniej. Ze strony dyrekcyi widać dbałość i staranie o poziom jak najwyższy, mogący niejednokrotnie zadowolić bardzo nawet wymagające audytoryum. Widać to zwłaszcza w sprowadzaniu do Krakowa bardzo wybitnych solistów, na których spoczywa niemal zawsze lwia część powodzenia przedstawienia. Ostatni tydzień dał tego starania niemały dowód. Oto w świeżo wystawionej teraz operze „Carmen" śpiewały z rzędu siły takie, jak pp. Trąmpczyńska i Szafrańska, panowie Jarosławski i Jachno. Jeżeli p. Trąmpczyńska zdołała sobie uzyskać uznanie za umiejętne i szlachetne ujęcie roli Carmen, to cóż powiedzieć o p. Szafrańskiej, która w tej samej roli okazuje się artystką bez cienia zarzutu. Niehamowny temperament w akcie I i II, duży odcień smutku w odsłonie III, znakomita gra aktorska, przeczysty głos i subtelne oddanie każdej frazy — oto walory, jakimi ta artystka czaruje i zachwyca. Panowie znów Jarosławski i Jachno w partyi Escamilla podają dwa rodzaje interpretacyi pod każdym względem świetnej. „Carmen" z p. Szafrańską, Jaroszyńską i takimi torreadorami — to prawdziwa biesiada.

Mimo atoli, że mamy już tak wysoko postawioną operę, przecież kto wie, czy niefrasobliwy ogół Krakowa nie szczelniej wypełnia widownię teatrów podczas przedstawień operetkowych. Ha, nic dziwnego! Operetka jest przystępniejszą i dla ucha i poziomu inteligencyi — jest zrozumialszą, weselszą i zawsze pogodną... Nic dziwnego zatem, że ten i ów woli dwie godziny bezwzględnego odpoczynku i niemyślącego patrzenia, niż poważnego skupienia się, jakie zawsze przecież przy słuchaniu opery potrzebne. I choć bezzębne matrony (!) i obłysiali ojcowie i właściciele młodziutkich i „nieuświadomionych" córeczek pienią się na „podkasaną", a właściwie za szczupło „ubraną" Muzę — powiadam krótko, że i ta Muza, jako istota żyjąca, ma prawo istnienia, a jeśli ładna, to nawet można z nią poflirtować, byle tylko mama, albo żona nie widziała! Tolerować nie można operetek tylko wyuzdanych, wręcz nieprzyzwoitych. Takich w Krakowie nie widzimy. To też obok opery i operetka Teatru miejskiego przy ulicy Rajskiej cieszy się powodzeniem wcale niemałem... Jest tam spora „paczka" artystów i artystek w rodzaju operetkowem wprost doskonałych.

Przy najbliższej nowości, jaką będzie „Kakaowy Wojaszek", napiszemy o tych artystach szerzej, dziś trzeba wspomnieć o drugim przybytku „ciasno ubranej" Muzy, o Teatrze Nowości, gdzie wystawiono „Księżniczkę Foxtrota". Już sama nazwa mówi o co chodzi... Chodzi o dużo tańców, o modnego dziś „foxtrota"... A tańczą go w tej operetce doskonale, z temperamentem i, co bardzo ważne, z pewną dystynkcyą. „Nowy Foxtrot Shymi", odtańczony przez pp. Nadzieżdinę i Koszutskiego zyskał ogólne uznanie przedewszystkiem za smak, z jakim go wykonano. Niemniej „Tańce marynarzy" na pokładzie okrętu (bajeczne solo p. Koszutskiego) wywołały niemilknące brawa. A sama operetka? Ma tę przedewszystkiem zaletę, że im bliższa końca, tem weselsza, melodyjna przytem, barwna, rozbliwa, dostarczająca dużego pola do popisu dla grających. Treść prosta, ale z wdziękiem ujęta, zasadzająca się na rozkochaniu się hrabianki (p. Kamińska) w oficerze marynarki (p. Wesołowski) i porzucającej dla niego dotychczasowego narzeczonego (p. Woliński). Wymienieni artyści role swoje odśpiewali i odegrali starannie. „Życie" natomiast i „ruch" na scenie utrzymywali pp. Pilarski (prymas cyganów), Kaczorowski (Picador) i Czernekówna (Etelka). Całość szła składnie. W końcu jedno zapytanie: czy wszystkie krakowskie Teatry (z wyjątkiem im. Słowackiego) „muszą" zwlekać z rozpoczęciem przedstawień niemal zawsze o pół godziny, jeśli nie dłużej? Czy nie możnaby nauczyć siebie i publiczności bardzo ważnej zalety, której nam stale brak, a która nazywa się: punktualność? *b—j.*

„Czerwony młyn" na scenie lwowskiej.

Jedną z ostatnich nowości na scenie lwowskiego Teatru Wielkiego, która potrafiła zainteresować szerokie koła, był dramat Edwina Jędrkiewicza „Czerwony młyn".

Autor, znany już publiczności teatralnej z wystawionego poprzednio „Saula króla", wystąpił tym razem z dziełem potężnem, malującem w sposób żywy i zajmujący walkę między Dobrem a Złem, jakiej widownią był, jest i będzie świat cały, póki będzie światem, a człowiek człowiekiem. Dramat ten będący nim nie tylko *de nomine* ale i *de facto* stwierdził tym razem jeszcze silniej, że Jędrkiewicz zna dobrze prądy nurtujące ludzkość i umie je na scenie przedstawić w sposób należyty, jedno chyba

możnaby mu zarzucić, to jest zbytnią pobłażliwość dla niskich popędów budzących się w sercu ludzkiem. Maluje człowieka takim, jakim jest w swem zaślepieniu i pogoni za ideałami, których nieraz nie rozumie, ale, jak gdyby na pocieszenie i dla wytłómaczenia go daje widzowi lub czytelnikowi do poznania, że ón przecież nie jest tak złym, za jakiego się go uważa, gdyż tam na dnie tli zawsze jakaś iskierka, która czeka tylko sposobności, by jasnym wybuchnąć płomieniem. Jędrkiewicz wierzy, że człowiek nie jest jeszcze tak gruntownie zepsutym, by szlachetne instynkty nie miały kiedyś wziąć górę nad złymi. Ten konflikt między Dobrem a Złem, jaki się toczy stale w duszy człowieka, oto treść ostatniej pracy Jędrkiewicza, której przyznać trzeba, że jest zupełnie udatną i bardzo na czasie, a kierownictwu lwowskiej sceny wyrazić uznanie za zapoznanie nas z tą nowością, która zasługuje zupełnie do postawienia jej na równi z utworami autorów, znanych dobrze w historyi literatury dramatu tak naszego, jak obcego.

Potęga ciemnoty.

(Do illustracyi tytułowej).

W niektórych okolicach naszego kraju hołduje ludność dotąd jeszcze przesądom, cofającym nas o całe setki lat wstecz, w czasy zamierzchłego średniowiecza, kiedy wiara w strachy, upiory i pokutujące dusze była czemś zupełnie powszedniem. Postęp cywilizacyi rozprószył już wiele ciemności, obalił wiele zabobonów, ale widocznie nie dotarł jeszcze wszędzie, jak o tem świadczy wiadomość,

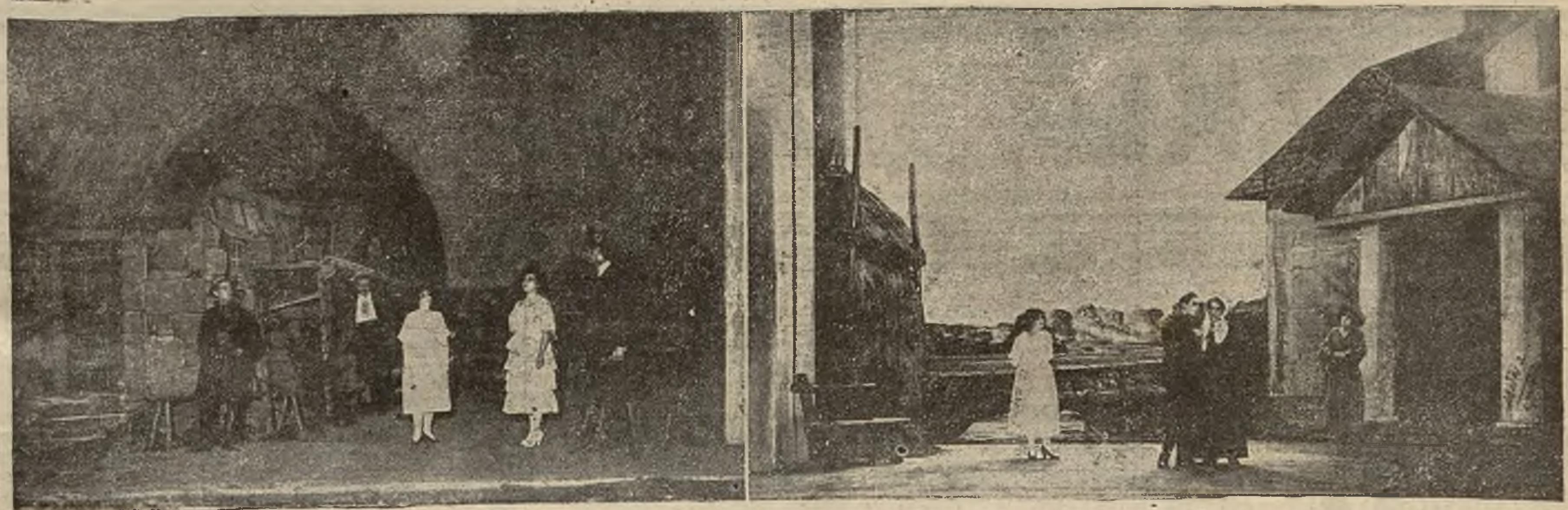


Z Teatru — Miejski Teatr i operetka oraz Teatr Nowości: Artystka oper. p. Aleksandra Szafrańska, w roli „Carmen". (Akt II w „tawernie").
Fot art Kuczyńskiego.

starego męża, córka zaś brzydkim zwyczajem wyrzuciła ojca z zapisanego sobie gospodarstwa. Zrozpaczony, zapytał córkę, czy zechce z nim nadal żyć, a gdy otrzymał odpowiedź odmowną, począł jej zadawać rany rzeźniczym nożem na oślep. Na krzyk mordowanej zerwała się matka Jurasa, pochwyciła mordercę, a córka ciężko ranna, wybiegła na dwór wzywając pomocy. Tymczasem Juras zabił matkę, a sam uciekł za chatę i powiesił się na belce w stodole.

Przy zdejmowaniu ciała wisielca miejscowa ludność rzuciła się chciwie na pas, na którym morderca i samobójca się powiesił, podarła go na strzępy i zabrała na „szczęście". Mordercę przewieziono do kostnicy cmentarnej i tutaj krewny samobójcy, cieśla Tomasz Juras, zrobiwszy trumnę, na prośby okolicznych tamtejszych mieszkańców przewrócił nieboszczyka w trumnie twarzą do spodu i przybił go 10 cio calowym gwoździem do trumny. Chodziło o to, ażeby nie mógł w grobie ruszać się i „nocami straszyć" okolicznej ludności.

Fakt powyższy świadczy smutno o ciemnocie ludu w niektórych okolicach i mimowoli przywodzi na pamięć podobne zdarzenie z przed laty dwudziestu kilku z najbliższych okolic Krakowa, gdzie w pewnej wsi zwłoki samobójcy, aby uchronić okolicę od posuchy, wyciągnięto ze stodoły dziurą wykopaną pod progiem, następnie na saneczkach, używanych do przewożenia gnoju, przetransportowano na pole, gdzie wykopano grób, wrzucono je w jego głąb twarzą na spód i z nogami skrępowanemi sznurem, przywalono trumną i jej wiekiem, wreszcie zasypano. Epilog tej sprawy rozegrał się w kra-



„Czerwony młyn" na scenie lwowskiej 1 Scena z I. aktu. 2) Scena z II. aktu.

podana przez warszawski organ stronnictwa ludowego „Ludowiec", w skład którego redakcyi wchodzi aż dziewięciu posłów sejmowych, których chyba o przesadę posądzić nie można.

W gminie Wieprz, powiatu żywieckiego, jeden z gospodarzy, Józef Juras, zapisał swej córce cały majątek, a wkrótce potem zakochał się w młodej dziewczynie, która nie wiedząc nic o zapisie, wyszła za niego w nadziei odziedziczenia majątku. Młoda żona dowiedziawszy się o wszystkiem odeszła od

kowskim Sądzie karnym w latach dziewięćdziesiątych, gdzie na ławie oskarżonych zasiadło kilkunastu gospodarzy z tej wsi, pod zarzutem występku zbezczeszczenia zwłok.



Z lwowskiego karnawału: Komitet urządzający zabawę taneczrą na rzecz „Samopomocy lwowskich fryzyerów i perukarzy".

NADESŁANE.



Odznaczenie Legionistki.

W ciągu wielkiej wojny światowej, której echa nie przebrzmiały jeszcze zupełnie do dnia dzisiejszego, złożyły kobiety, w szczególności zaś Polki, tyle dowodów poświęcenia, iż na równi z rodzajem męskim mogą mieć zupełnie uzasadnione pretensye do wdzięczności społeczeństwa. Pracowały one nie tylko poza linią bojową, lub na niej, jako sanitaryuszki i opiekunki chorych i rannych, ale, gdy zaszła potrzeba i niebezpieczeństwo stało się groźne, nie wahały się chwycić za broń i stanąć w szeregu obrońców. Niejedna z nich spisała się tam tak dzielnie, wskrzeszając dawne tradycye Pustowojtówny lub Emilii Plater, iż laurów, zdobytych na polu walki, może im pozazdrościć wielu mężczyzn, którzy w krytycznej chwili nie okazali bynajmniej męskiego ducha, a zmuszeni do przywdziewania munduru wojskowego, dokładali wszelkich starań, by się przypadkiem nie dostać na front.

Szereg kobiet, które pospieszyły z ratunkiem Ojczyźnie, gdy groziło Jej największe niebezpieczeństwo, jest bardzo liczny, nazwiska ich poda historya wdzięcznej pamięci potomności, jako przykład, godny naśladowania. Spotykamy się z niemi zwłaszcza pcd czas obrony kresów wschodnich, tak w chwili zamachu ukraińskiego na Wschodnią Małopolskę, jak i inwazyi bolszewickiej. Nagrodę za ich poświęcenie się były słowa i dowody uznania, jakich nie szczędziły im poszczególne dowództwa.

Przebywająca na bezterminowym urlopie porucznik Olga Stawecka rozkazem M. S. W. L. 2027.



Odznaczenie legionistki: Porucznik, Olga Stawecka.

dziennik personal. N. 40. została odznaczona „Krzyżem Walecznych“. Zaznaczyć należy, iż por. Stawecka już od początku wojny europejskiej pracowała z wielkiem poświęceniem dla dobra polskiej sprawy, za co dwa razy była więziona przez rząd austryacki. Pierwsza z kobiet z zachodniej Małopolski stanęła wśród obrońców Lwowa, swojem poświęceniem, odwagą niezwykłą i dzielnością zyskała sobie wkrótce najwyższe uznanie dowództwa. Była komendantką baonu w Stanisławowie, we Lwowie i w Warszawie. Na tem stanowisku dała dowody swojej niezmordowanej energii i poświęcenia się dla dobra ogólnej sprawy. W czasach ciężkich, a mianowicie w czasie ofenzywy bolszewickiej i odwrotu naszych wojsk pełniła funkcye dowódcy kompanii frontowej Legii Wileńskiej, biorąc czynny udział w obronie Wilna, a także przy osłonie odwrotu naszych oddziałów. Na czele swojej kompanii, złożonej z niedoświadczonych i fizycznie słabych kobiet, świecąc swoim przykładem, zawsze starała się być na miejscach najbardziej niepewnych i nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo wypełniała swoje zadanie tak, jak przystało na wiernego i miłującego ojczyznę obrońcę. To też słusznie zdobi piersi tego dzielnego oficera-kobiety „Krzyż Walecznych“, jako nagroda za poniesione trudy i wierną pracę, pełną poświęcenia dla umiłowanej Ojczyzny!!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego